

**REYMONT**  
**WŁADYSŁAW**  
**STANISŁAW**

CHŁOPI, CZĘŚĆ DRUGA –  
ZIMA

Reymont Władysław  
**Chłopi, Część druga – Zima**

«Public Domain»

**Władysław R. S.**

Chłopi, Część druga – Zima / R. S. Władysław — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

© Władysław R. S.

© Public Domain

## Содержание

I	5
II	17
III	27
IV	38
Конец ознакомительного фрагмента.	41

# Władysław Stanisław Reymont

## Chłopi, Część druga – Zima

### I

Nadchodziła zima...

– jeszcze się barowała<sup>1</sup> z jesienią i porykujący tłukła po sinych dalach jako ten zwierz srogi i głodny, że nie wiada było, kiej przeprze a skoczy i lutymi kłami weźre się we świat...

– jeszcze czasami prószył śnieg nikły, płowy – jesienny śnieg... – jeszcze przychodziły dnie osłupiałe, chorością sine, ckne, stękliwe, oropiałe i zgoła lamentem przejęte, a lodowym światłem mżące – dnie trupie, że ptactwo z krzykiem uciekało do borów, trwoźniej bełkotały wody i toczyły się leniwo, jakby strachem stęzałe, ziemia dygotała, a wszelaki stwór podnosił czujące, lękliwie oczy na północ – w niezgłębioną topliel chmur...

– jeszcze noce były jesienne; osłepłe, głuche, zamętne, a pełne strzepów mgieł i brzasków gwiazd pomarłych – rozgniłe noce dygotliwego milczenia, przenikniętego zduszonym krzykiem trwogi; pełne wzdychów bolesnych, szamotań, nagłych cichości, wycia psów, targań marznących drzewin, żalonych głosów ptactwa szukającego schronisk, strasznych wołań pustek i rozstajów zgubionych w ciemnicy, łopotów jakichś lotów, cieniów zaczajonych pod ścianami zdrętwiałych chat, pełzających hukań, zjaw przerażających, nawoływań nierozeznanych, mlaskań okropnych, przesywających jęków...

– jeszcze czasami, o zachodzie, z posępnych pól ołowianego nieba wylupywało się czerwone, ogromne słońce i spadało ciężko, niby kadź roztopionego żelaza, z której buchały krwawe wrzutki i biły dymy smoliste, czarne, popręgowane gorejącymi żagwiami, że świat cały stawał w łunach i w poźodze.

I długo, długo w noc dogasały i stygły na niebie krwawe zarzewia, aż ludzie mówili:

– Zima rośnie i na złych wicherach przyjedzie.

I rosła zima, rosła co dzień, co godzina, co to oczymgnienie<sup>2</sup>.

Aż przyszła.

A najrychlej przyleciały zapowiednie wici.

Jakoś wnet po świętej Barbarze, patronce dobrej śmierci, o cichym, omdłym zaraniu, spadły pierwsze krótkie, trzepotliwe wiatry; obleciały ziemię ze skowytami jako te psy wężące tropu, gryzły zagony, warczały w krzaczach<sup>3</sup>, poszarpały śniegi, potar mosiły sady, poomiały ogonami drogi, wytarzały się po wodach i milczkiem urwały kajś niekajś<sup>4</sup> co starszych strzech i ogrodzeń i jeły się zwijać a ze skomleniem uciekać na bory – a po nich, zaraz na odwieczerzu<sup>5</sup>, zaczęły się wysuwać z mroków długie, świszczące i jakoby kolczaste jęzory wicherów.

Wiały noc całą, a tak zasię skowyczały w polach kiej<sup>6</sup> to stado zgłodniałych wilków; a hulały rzetelnie, bo ano rankiem ziemia już dropiała<sup>7</sup> spod stratowanych i wyżartych śniegów, gdzieniegdzie ino po dołkach i bruzdach bieleły się poszarpane płaty, a zagony świeciły łysicami, drogi leżały skostniałe i przemarzłe, mróz zaś wżerał się ostrymi kłami w ziemię, że dzwoniła jak żelazo – ale

<sup>1</sup> *barować się* – tu: siłować się, brać się za bary z kimś a. czymś. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *oczymgnienie* – dziś popr.: okamgnienie. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *kierz* (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *kajś niekajś* (gw.) – gdzieniegdzie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *odwieczerz* (gw.) – popołudnie, pora przed wieczorem. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *kiej* (gw.) – jak. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *dropieć* (neol.) – czas. utworzony od przym. dropiaty, tj. pstry, nakrapiany; znaczenie: pokryć się plamami, cętkami. [przypis edytorski]

skoro dzień nastał, uciekły poszczekując, pokryły się w lasach i w przyczajeniu dygotały skokiem napiętym, złym.

A niebo poczęło się zaciągać coraz mroczniej; chmury wypełzały ze wszystkich jam, podnosiły potworne łby, przeciągały zgniecione kadłuby, rozwichrzały sine grzywy, zielonawymi kłami błyskały i szły całym stadem – groźną, ponurą i milczącą cizbą waliły się na niebo; szły od północy czarne, olbrzymie góry, postrzępione, podarte, spiętrzone, rosochate, niby kupy borów podruzgotanych, przerwanych głębokimi przepaściami, zasypanych zielonymi ławicami lodów, a parły się naprzód z dziką mocą, z głuchym poszumem; od zachodu, zza borów czarnych, nieruchomych wysuwały się z wolna sine, obrzękłe zwały, prześwitujące gdzieś jakby ogniem, a szły jedna za drugą, rzędem nieskończonym, ciągiem coraz większym, jakoby te klucze ptaków wielgachnych; zaś od wschodu wywlekały się chmury płaskie, zrudziałe, przekrwione, przeropiałe, zgoła paskudne, kieby<sup>8</sup> te ścierwa przegniłe i ociekające posoką; i od południa szły, ino że zwietrzałe, czerwone, podobne do bajorów<sup>9</sup> i trzęsawisk torfowych, a pełne pręg i gruzłów sinych, pełne plam i rojowisk strasznych – jakby pełne tego gmerzącego<sup>10</sup> robactwa; a jeszcze i z góry, jakby z wygasłego słońca, spadały kłakami brudnymi, to sypały się barwione jako te żuźle stygnące – a wszystkie szły na siebie, stożyły się w góry przeogromne i zalały niebo czarnym, strasznym kipiátkiem błota i rumowisk...

Świat z nagłą poczerniał, cisza się uczyniła głucha, przygasły światłości, sine oczy wód pomdlały, wszystko jakby zdrewniało i stanęło w zdumieniu z przytąjonym tchem, lęk wionął po ziemi, mróz przenikał kości, strach chycił za gardziele, dusze padły w proch, lute przerażenie załopotowało nad wszelkim stworzeniem – widać było, jak zając gnał przez wieś z rozwianą sierścią, to wrony z krzykiem przejmującym wpadały do stodół albo i zgoła do sieni, psy wyły po przyzbach jak oszalałe, ludzie chyłkiem uciekali do chałup, a nad stawem biegała ślepa kobyła z resztką wozu, tłukła się o płoty, o drzewa i z dzikim kwikiem szukała stajni.

Ciemnica się rozlewała mętna, dusząca: chmury opadały coraz niżej, zwałały się z lasów rozkotłowaną gęstwą tumanów i toczyły się po zagonach jak te wody wzburzone, rozhukane, straszne – uderzyły na wieś i zalały wszystko lodowatą, brudną mgłą; naraz niebo się przedarło na środku i zajaśniało modrawo niby lustro studzienne, świst ostry przeszył ciemności, mgły się skłębiły z nagłą, a z pękniętej czeluści lunął pierwszy wicher, a za nim już leciał drugi, dziesiąty, setny!

Wyły już stadami, lały się z tej gardzieli niby rzeki niczym nie powstrzymane, rwały się jakby z łańcuchów i rozskowyczoną<sup>11</sup>, wściekłą zgrają biły w chmury, rzucały się na ciemnice i rozwałały je do dna, przeżerały na wskroś i rozmiatały niby tę słomę strupieszalą.

Wrzask poszedł po świecie, zamęt, szumy, świsty, kurzawa.

Chmury, stratowane ostrymi kopytami wichrów, uciekały jakby chyłkiem na bory i lasy, niebo się przecierało, dzień znowu zaświecił ołowianymi oczami, stwór wszelki odetchnął z ulgą.

Ale wichry wiały wciąż, bez mała całą niedzielę, a bez folgi żadnej ni przestanku. Dnie to tam jeszcze jako tako człowiek strzymać wstrzymał, że to ino ci się wiedli na świat, kogo potrzeba gnała, drugie zaś po chałupach siedzieli i końca wyglądali, ale noce były nie do wytrzymania, a przyszły akuratnie jasne, rozgwiażdżone<sup>12</sup> i w górze ciche, ino na ziemi wichura odprawiała diabelskie gody, jakby się naraz ze sto chłopa obwiesiło, że i zasnąć nie było można, jakże, kiej szły takie ryki, trzaski, łomoty i hurkotania, jakby tysiące pustych wozów a w pędzie największym przejeżdżało po grudzie, a te tętenty, od których ziemia drżała, a te hukania Bóg wie czyje, te wrzaski, te wycia!

<sup>8</sup> kieby (gw.) – jakby. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> bajorów (forma gw.) – popr. forma D. lm: bajor. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> gmerzący – tu: wijący się, pełzający we wszystkie strony. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> rozskowyczony – dziś popr.: rozskowytany. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> rozgwiażdżony – dziś popr.: rozgwieżdżony. [przypis edytorski]

Chałupy trzeszczały, bo raz wraz wichura parła barami ściany, tłukła się o węgły, podważała okapy, za przyciesie<sup>13</sup> się brała, w drzwi tłukła jakby łbem, że niejedne puściły, szyby gnieła, aż trza było wśród nocy wstawać i przytykać poduszkami, bo darła się do wnętrza z kwikiem kiej ta świnia uprzykrzona, a tak prażyła ziąbem, iż ludzie pod pierzynami, a kostnieli!

Co się naród nacierpiał przez te dnie i noce, to i nie wypowiedzieć! A co szkód narobiła, to i nie zliczyć; poobalała płoty, powydzieraa poszycia, u wójta prawie nową szopę przewróciła, Bartkowi Kozłowi wzięła dach ze stodoły i poniosła w pola o dobre pół stajania<sup>14</sup>, Winciorkom komin zwała, we młynie udarła kawał dranicowego dachu, a co strat pomniejszych! Co drzew wyłamała w sadach i borach! Na wielkiej drodze wyrwała cosik ze dwadzieścia topoli, że padły w poprzek kiej te trupy srodze pomordowane i obdarte.

W te wiejne i wrzaskliwe dnie Lipce były jakby wymarłe; wichura hulała po drogach z taką mocą, że kto się ino wychylił z chałupy, wnet go przycapiła za łeb i waliła, gdzie popadło – w rowy, o drzewa, na płoty ciepała, a nawet Jaśka Przewrotnego zwała z mostu do stawu, że ledwie się chłopak wygramolił, a dęła wciąż, sypała piaskiem i niosła gałęzie, wióry, snopki z dachów, czasem i wierzchół pomniejszych, że leciały w kurzawie niby te ptaszyska rozgonione i tłukły się o ściany, we świat gnały!

Najstarsi ludzie nie baczyli tak swarliwych i uprzykrzonych wiatrów.

Gnietli się też po zadymionych chałupach i swarzyli z ckności niemało, bo ciężko było nosa pokazać za węgieł, tyła że co niecierpliwse kobiety przebierały<sup>15</sup> się raz wraz chyłkiem pod płotami, niby to z kądzielą szły do kum, a głównie, bych pomleć ozorami a nawyrzekać; chłopy zaś młóciły zawzięcie, spoza przywartych wrótni stodół były cepy od rana do późnego wieczora, mróz owarzył<sup>16</sup> zboże, to łącniej się łuszczęło, a ino na odwieczerzu, kiej wichura nieco folgowała, niejednen z parobków przemykał się z ćwiartką jaką do karczmy.

A wichry wciąż jednako wiały i gryzły mrozem coraz krzepciej<sup>17</sup>, że już od tej wiejby pozamarzały rzeczki i strugi, bagna stęzały, staw nawet pokrył się przejrzystym, modrym prawie lodem, tyle że ino przy moście, gdzie głębiej było, woda się jeszcze burzyła i nie dawała, ale brzegi leżały już skute na moc, że trzeba było przyręble ciąć dla wodopojów.

Dopiero przed samą świętą Łucją przyszła odmiana.

Mróz sfolzał i ociepliło się dziebko, wichry jakby zdychały, bo ino od czasu do czasu przedmuchały świat, ale już miętsze<sup>18</sup> i nie tak swarliwe, niebo zaś się wyrównało kieby to pole zbronowane, a pokryte wielgachną siwą, zgrzebną płachtą, a tak nisko się opuściło, iż jakby się na przydrożnych topolach wsparło. Ale posepnie było, szaro i głucho.

A skoro jeno przedzwonili na południe, zmrocząło się nieco i jał padać śnieg dużymi płatami, a sypał gęsty, bo wnet opierzył wszystkie drzewa i wyniosłości.

Noc się rychlej zrobiła, ale śnieg nie przestawał, sypał coraz gęściej, suchszy nieco a sypki, i tak już przez całą noc padał.

Na świtanu było już śniegu na dobre trzy piędzie<sup>19</sup>, do cna przyokrył kożuchem ziemię i przesłonił świat całą modrawą białnością<sup>20</sup>, a leciał wciąż, bez przestanku.

Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał, ani jeden dźwięk się nie przedzierał wskróż tych spływających puchów, nic, zamilkło wszystko, ogłuchło, oniemiało, jakby

---

<sup>13</sup> *przycies* – podstawa z odpowiednio spojonych belek, na której opiera się ściana domu. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *stajanie* a. *staje* – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *przebierać się* (reg.) – przekradać się, przedostawać się. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *owarzyć* (gw.) – zwarzyć, tj. przemrozić i spowodować uwiąd. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *krzepciej* (gw.) – silniej, mocniej (od przym.: krzepki). [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *miętszy* (forma gw.) – dziś popr.: miększy. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *piędź* – daw. miara długości, ok. 20 cm. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *białność* – popr.: białość, biel. [przypis edytorski]

przed cudem stanęło i przychylone nieco zasłuchało się uroczyście w tym ledwie wyczutym szeleście, w tym locie cichym, w tej białości martwej, rozdrwanej i opadającej nieustannie.

Biaława ćma się czyniła, rosła, stawała; biały, migotliwy, niepokalany brzask sypał się by ta wełna najbielsza, najmiększa, najśliczniejsza; sypał się gęstwą nieprzeliczoną by ta zamarzała poświata, jakoby wszystkie gwiazdne światłości zakrzepły w szron i starte lotem podniebnym na proch, świat zasypywały, przysłoniły się rychło bory, przepadły pola, że ani okiem uchwycił, zginęły drogi, roztopiła się wieś cała i wsiąknęła w tę białosc cudną, w ten oślepiający tuman, a w końcu nie było już dla oczów<sup>21</sup> nic widne, prócz tych strug śnieżystego pyłu, spływającego tak cicho, tak równo, tak słodko, kiej te wiśniowe okwiaty w noc miesięczną.

Na trzy kroki nie dostrzegł chałupy ni drzewa, ni płotu, ni czyjej postawy, ino głosy ludzkie latały w tej bieli, kiej osłabłe motyle, a mylnie, bo nie wiada skąd płynące, dokąd – a coraz słabiej się trzepotały, coraz ciszej...

I tak sypało dwa dni i dwie noce, że w końcu zasypało chałupy, iż się wznosiły jako te śniegowe kopice, buchające brudnymi kołtunami dymów, drogi się wyrównały z polami, sady były pełne po wręby płotów, staw całkiem zginął pod nawalą, biała równia, nieobjęta, chłodna, nieprzenikniona, puszysta i cudna pokryła ziemię, a śnieg wciąż padał, tylko że już coraz suchszy i rzadszy, to nocami przedzierzały się gwiazdne migoty, a w dzień modrzało niebo gdzieniegdzie wskroś tych polatujących paździerzy białych i powietrze stawało się słuchliwsze, głosy darły się ostro przez gęstwą, rażno, hukliwie. Wieś jakby się przebudziła, ruch powstał, kto niekto wyjeżdżał saniami, ale zawracał rychło, bo drogi były nie do przebycia; gdzieniegdzie przekopywali ścieżki między chałupami, odwalali śniegi sprzed drzwi, wywierali na ścieżaj obory, radość przejmowała wszystkich, a już dzieci to szalały z uciechy, psy naszczekiwały wszędzie, polizywały śniegi i ganiały wspólnie z chłopakami. Zaroilo się na drogach, wrzaski się podniosły w opłotkach, krzyczeli a bili się śniegułkami, a tarzali w miękim, puszystym śniegu, a bałwany okrutne czynili, a saneczkami się ciągal, że te ich piski ucieszne i przegony zapełniły wieś całą, aż Rocho zaprzestał nauczania w ten dzień, bo nie mógł nikogój utrzymać przy lementarzu<sup>22</sup>.

Coś trzeciego dnia, o samym zmierzchu, śnieg przestał padać, prószło jeszcze niekiedy, ale tak jakby kto worek z mąki wytrzepywał nad światem, że i znać nie było, ale niebo spochmurniało, wrony tłukły się koło domów i przysiadaly na drogach, a noc się zaciągnęła bezgwiazdna, ołowiana, tymi śniegami omroczonymi rozbielona, a taka cicha, zakrzepła i martwa, jakby już całkiem z wszelkiej mocy wyzuta.

– Choćby i ten najlekciejszy<sup>23</sup> wiaterek, a zakurki będą – szepnął rankiem, na drugi dzień, stary Bylica wyzierając przez okienko.

– Niech ta będą, zarówno mi jedno! – burknął Antek dźwigając się z pościeli.

Hanka zażęgała ogień w kominie i wyjrzała przed sień. Wcześniej było, koguty piały po wsi, mrok leżał gruby jeszcze, jakby kto wapno zmieszał na poły z sadzą i przytrząsnął świat, że nie rozeznał ni drzew, ni chałup, ni dalekości, ino na wschodzie tliły się brzaski niby te spopielale zarzewia, a na ziemi leżała głęboka cichość i chłód surowy wionął.

W izbie też był ziąb przenikający, wilgotny, a tak chwytny, że Hanka wzuła trepy na bosc nogi, w kominie ledwie się tliło, bo jałowcowa świeżyzna ino trzeszczała i dymiła, aż Hanka uścibnęła drzazeg z jakiejś deski, to słomy podtykała, że wreszcie gałęzie się zajęły płomieniem i rozświectliły nieco.

– Naleciało go tyła, że i na całą zimę starczy – zagadał znów stary wychuchując szybkę, obrośniętą zielonawym, grubym lodem, bych w świat popatrzeć.

---

<sup>21</sup> *oczów* (forma gw.) – dziś popr. forma D. lm: *oczu*. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *lementarz* (gw.) – *elementarz*. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *najlekciejszy* (gw.) – popr.: *najlżejszy*. [przypis edytorski]

Starszy chłopak, któremu już było na czwarty rok, zaczął chlipać w łóżku, a z drugiej strony domu, z mieszkania Stachów, rozbrzmiewały ostre głosy kłótni, wyrzekań i piski dziecińskie, i trzaskanie drzwiami.

– Weronka swoim pacierzem dzień zaczyna! – szepnął urągliwie Antek okręcając nogi nagrzanymi przed kominem onuczkami.

– Przyuczyła się trajkotać, to i trajkocze, chocia nie potrza, ale to nie bez<sup>24</sup> złość, nie... – jękał cicho stary.

– A juści – dzieciśka też tłucze nie bez złość?... Abo Stachowi nie da dobrego słowa, ino ciągiem huruburu, jak na tego psa, to pewnie z dobrości? – mówiła Hanka przyklękając do kołyski, by dać piersi młodszemu, ktoren też popłakiwał a kulasami grzebał.

– Ile? – trzy niedziele, jak u waju<sup>25</sup> siedzimy w chałupie, a to i dzień jeden obyć się nie obył bez wrzasków a bijatyki, a tego kłyźnienia<sup>26</sup>! Pies to, nie kobieta! A Stacho ciamajda i pozwala sobie kołki ciesać na łbie, robi jak wół, a gorzej ma od psa.

Stary spojrział lękliwie, chciał nawet coś rzec w obronie, gdy właśnie drzwi się otwały od sieni i Stacho wraził głowę wraz z cepami, co je niósł na ramieniu.

– Antek, chcesz iść do młocki? Organista powiedział, bym sobie dobrał kogo do jęczmienia, a suchy i dobrze, letko się otrzaskuje... – napierał mi się Filip, ale jeżeli chcesz... to juści, zarób sobie...

– Bóg zapłać, weźcie Filipa, ja ta u organisty wyrabiał nie będę.

– Twoja wola! Panu Bogu oddaję.

Hanka aż się zerwała na odpowiedź Antkowej, wnet jednak przychyliła się i wtuliła głowę w kolebkę, by lez nie pokazać i tego strapienia!

– Jakże, taka zima, taka skrzytwa, taka bieda, że żyją jeno ziemniakami ze solą, grosza jednego nie ma, a on robić nie chce! Całe dnie przesiaduje w chałupie, papierosy kurzy i duma! albo znów gania po świecie, jak ten głupi, za wiatrem chyba! Mój Boże, mój Boże! – jękała boleśnie. – Już nawet Jankiel nie chce borgować<sup>27</sup>, krowę przyjdzie sprzedać, cóż?... Uparł się, to i sprzeda, a do roboty się nie weźmie... Juści, prawda, że mu to i nijako na wyrobek iść, markotno, ale co począc, co? Żeby to ona chłopem była, mój Boże, nie żałowała by pazurów, a to choćby kulasy po łokcie urobić, bych ino krowy nie sprzedać, bych ino zwiesny<sup>28</sup> doczekać, zimę przetrzymać... Ale co ja uradzę, biedna, co?... – Rozskrzypiała się jej tak dusza, że rady dać sobie nie mogła.

Wzięła się do zwykłych, codziennych obrządków, a ukradkiem spozierała na męża, któren siedział przed kominem, okręcił w połę kozucha starszego chłopaka i ocieplął mu nożęta dłonią nagrzewaną, patrzył ponuro w ogień i wzdychał; stary pod oknem obierał ziemniaki.

Milczenie przykre, niepokojące, przesycone tajonymi żałami, wezbrane dławiącym uczuciem nędzy, motało się między nimi. Nie spoglądali sobie w oczy, nie przemawiali, słowa więzły w strapieniach, uśmiechy zgasły, w oczach błyskały tłumione wyrzuty, a w bladych, wynędzniałych twarzach widniała gorycz, żale się snuły, a zarazem harda, żelazna nieustępliwość. Przeszło już trzy tygodnie od wypędzenia z ojcowej chałupy i tyle dni długich, tyle nocy, a nie przepomnieli oboje jeszcze niczego, nie przeboleli krzywdy ni opamiętali się w zawziętości – tak mocno czuli, jakby się to stało w tym oczymgnienu.

Ogień trzaskał wesoło, ciepło się rozlewało po izbie, aż lód na szybach topniał i te smugi śniegu, nawianego szparami, tajały pod przyciesiami, a gliniany tok<sup>29</sup> pocił się i opływał rosą.

---

<sup>24</sup> bez (gw.) – przez. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> waju (gw.) – was. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> kłyźnienie (gw.) – kłótnia. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> borgować (daw.) – dawać na kredyt. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> zwiesna (gw.) – wiosna. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> tok (gw.) – klepisko, podłoga z ubitej gliny. [przypis edytorski]

– Przyjdą te Żydy? – spytała wreszcie.

– Powiedziały, że przyjdą.

I znowu ani słowa więcej. Jakże, któreż miało rzec pierwsze i co? – Hanka?... Kiej się bojała gęby ozewrzeć, bych te żale nabrane w serce nie lunęły z niej choćby i po niewoli! – Nie, taiła wszystko w sobie i powstrzymywała, jak mogła. Antek? Cóż miał powiedzieć? że mu źle? I bez tego wiadomo, a do przyjacielstwa nie był nigdy skory i do ugwarzania się, choćby i z kobietą swoją, ochoty nie miał! Jakże tu i mówić, kiej duszę przeżerała nienawiść, kiej za każdym wspominkiem serce mu się kurczyło z bolenia, a pazury się rozczapierały taką złością, że choćby na całą wieś, a gotów się był rzucić!...

Już nie nosił słodkich wspominków o Jagnie, jakby jej nigdy nie miłował, jakby nie brał w te same ręce, którymi teraz gotów był ją rozdierać. Ale żalu do niej nie miał.

– Kobieta niektóra jest jako ten pies zwleczoney, pójdzie za każdym, kto ino większą skibką przynęci abo i kijem postraszy. – Myślał o niej, nieczęsto jednak, bo mu ginęła w pamięci pod nawałą krwawiących, żywych i bolesnych uraz do ojca. Stary był winowaty, ociec to był tym krzywdzicielem, tym osękiem, którego się wbił w samo serce i bolał coraz ostrzej, przez niego to wszystko, przez niego!

I zbierał, zgarniał w siebie wszystko zło, wszystkie krzywdy, jakich doznał, i przepowiadał je jako ten pacierz niezapomniany! Różaniec ci to był bolesny i jęczący, ale go sobie przewłóczył przez serce, bych jeszcze lepiej zapamiętać!

O swoją biedę nie stał, chłop zdrowy, to byle miał dach nad głową, więcej mu nie potra, o dzieciskach niech kobieta zabiega, ale sama czysta krzywda go piekła kiej ogień i rosła wciąż, rozrastała się w nim niby ta parząca pokrzywa! Bo i jakże, trzy niedziele dopiero, a już się cała wieś odwróciła od niego, jakby go nie znali, jakby przybłąda był ze świata, omijali go kiej zapowietrzonego, nikt nie zagadał, do chałupy nie zajrzał, nie pożałował, dobrego słowa nie dał – a jak na tego zbója spoglądali.

Nie to nie, napraszał się nie będzie, ale i po kątach krył nie będzie, ni ustępywał nikomu z drogi! Kiej na udry, to na udry! Ale dlaczego to wszystko? Że się z ojcem pobił?... Pierwszy raz to we wsi czy co! Czy to Józek Wachnik nie bije się co dni parę?... Czy to Stach Płozka nie przetrącił kulasa swojemu? A nikt im marnego słowa nie powiedział, ino jego postponują, bo na kogo Pan Bóg, to i wszyscy święci. Starego to robota, starego, ale zapłacone miał będzie za wszystko, zapłacone.

Jeno dychał odemstą i myśleniem o niej, a cały ten czas żył w gorączce i niepamięci; do roboty się nie brał, o biedzie nie myślał, w jutro nie patrzył, ino się po tych mękach ciężkich tułał i darł w sobie. Nieraz nocami zrywał się z pościeli i leciał na wieś, błąkał się po drogach, w ciemnicach się krył i marzył zemstę srogą, poprzysięgał, iż nie daruje swojego.

Śniadanie zjedli w cichości, a on wciąż siedział osowiały i przeżuwał te wspominki kiej oset kolący a gorzki.

Dzień się już duży zrobił, ogień przygasał, a przez odmrożone nieco szybki było białawe, zimne światło śniegów; lodowe, smutne brzaski roztrzęsły się po kątach i obnażyły izbę, że stanęła w całej nędzy.

Mój Boże, Borynowa chałupa dworem się widziała przy tej ruderze; co chałupa, nawet obora ojcowa sposobniejszą była la<sup>30</sup> ludzi. Chlew to przegniły, nie dom; kupa zmurszałych bali, nawozu i śmiecia zgniłego. Ni jednej deski na ziemi, gliniany tok pełen wybojów, błota przymarzonego i śmieci wdeptanych, że niech ino odgrzało od komina, to smród bił gorszy niżli z gnojówki, a z tego trzęsawiska dźwigały się ściany spaczzone, struchlałe, przegniłe, że wilgoć lała się po nich, a w kątach mróz trząsał siwą brodą; ściany pełne dziur, pozapychanych gliną, a miejscami słomą z nawozem! A niski pułap wisiał kiej to stare sito podarte, że słomy opajęczonej więcej w nim było niżli desek. Jedne sprzęty i statki, co coś niecoś przykrywały tę nędzę, a te parę świętych obrazów na ścianach, zaś drąg z ubierem rozwieszonym i skrzynia przysłaniały przegrodę chruścianą, za którą mieściły się krowy.

---

<sup>30</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

Hanka, chocia powoli, a rychło obrządziła gospodarstwo; juści, niewiela tego było; krowa, jałowica, prosiak, gąsków parę i kurków, to i cała parada, i bogactwo całe. Ubrała chłopaków, że wnet się przetoczyli do sieni zabawiać z Weronczynymi dziećmi, wrychle<sup>31</sup> też jazgoty a wrzaski szły stamtąd, a sama przygarniała się nieco, jako że kupcy przyjść mieli i na wieś trza było iść.

Właśnie chciała się z mężem naredzić i coś niecoś pogadać przódzi o tej sprzedaży, ale nie śmiała zacząć, bo Antek wciąż siedział przed wygasłym kominem, zapatrzony gdziesik, ponury, aż strach ją obleciał.

– Co mu jest? – Zezuła trepy, bych go ino nie jątrzyć hałasem, ale coraz częściej spozierała na niego z trwożliwą czułością i niepokojem.

– Ciężej mu, bo nie taki kiej drugie, ciężej – myślała i okrutna chęć ją wzięła zagadać, popytać, uzalić się nad nim, już przystanęła z boku, już miała to dobre słowo w sercu wzruszonym – nie śmiała jednak. Jak tu i rzec było, kiej na nią nie zważa, jakby całkiem nie widział nic koło siebie! Westchnęła boleśnie; nieletko jej było na duszy, nie – nie drujkość czuła ano w sercu miodową, a ten gorzki piołun! Mój Jezu, inaczej mają drugie, choćby i te komornice<sup>32</sup>, a lepiej. – A tu na jej głowie wszystko leży, turbuj się, zabiegaj, starunek o wszystkim miej, kłopotcz się, ani zagadać do kogo, ni się przed kim wyzalić! Niechby ją skrzyczał, niechby nawet i zbił, wiedziałyby, że w chałupie jest chłop czujny, nie drewno. A ten nic, czasem burknie kiej pies zły abo i spojrzy, że jakby kto mrozem oblał duszę – ani przemówić do niego, ni przystąpić z tym szczerym sercem, jak to zwyczajnie bywa w małżeńskim stanie abo i w przyjacielstwie. Hale, powiesz co, uzalisz się, juści! Co mu ta kobieta, co żona – tyła, bych chałupy pilnowała, jeść uwarzyła i dziecisków strzegła. Abo to dba o co?... Bo to kiej przyhołubi, popieści, dobrością zniewoli, przygarnie mocno, ugwarzy się! Nie stoi on o to wszystko, nie! Ino się ciągiem myśleniem górno nosi, jak obcy zachowuje, że i nie wie, co się wedle niego dzieje! A ty, człowieku, sama bierz wszystko na swoją głowę, sama cierp, wydzieraj się, turbuj, a jeszcze ci i tym dobrym słowem nie odpląca!...

Nie mogła już powstrzymać bolesnego zalewu żałości ni łez, uciekła do krów, za przegrodę, wsparła się na żłobie i cicho chlipała, a gdy krasula poczęła sapać i lizać ją po głowie i plecach, buchnęła głośną skargą...

– I ciebie zbraknie, bydłatko, i ciebie... przyjdą tu wnet... stargują... postronek ci za rogi założą... poprowadzą... we świat cię powiedą, żywicielko nasza... w cały świat!... – szeptała obejmując ją za szyję i tuląc rozbolałą duszę do tego stworzenia czującego. Nie powstrzymywała jęków ni płaczu, bo wstawał w niej nagły, mocny bunt. Nie, tak być nie może dłużej, krowę sprzedadzą, jeść nie ma co, a on siedzi, roboty nie szuka, do młócki, choć proszą, nie idzie, a choćby i ten złoty groszy dwadzieścia zarobił na dzień, na sól by było, na okrasę, kiej już i tej kapki mleka zbraknie!

Wróciła do izby.

– Antek! – powiedziała ostro, śmieie, gotowa wszystko wypowiedzieć.

Podniósł na nią ciche, zaczerwienione oczy i tak spojrział smutnie a żałośnie, że jej dusza struchlała, opadł ją gniew, a serce zatłukło się litością...

– Mówiłeś, by przysli po krowę? – rzekła cicho i dziwnie miętko.

– Pewnie już idą, bo tam na drodze coś pieski jazgoczą...

– Ni, w Sikorowym obejściu naszczekują – powiedziała wyjrzawszy.

– Przed południem się obiecali, to ino ich patrzeć.

– Musimy to przedać, co?

– Jakże, grosza potrzeba, paszy też la<sup>33</sup> dwóch nie starczy... musimy, Hanuś, cóż poredzić... szkoda krowy... juści... ale kto nie ma grosza, nie umacza i nosa... – mówił cicho i z taką dobrocią,

---

<sup>31</sup> wrychle (gw.) – wkrótce. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> komornica – chłopka nie mająca własnej chałupy ani ziemi, płacąca pracą za mieszkanie. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

że Hance stajała dusza, a serce zaczęło się trzepotać radością i nadzieją; patrzyła mu w oczy jak ten pies wierny i słuchliwy, że już w tym oczymgnięciu nie żałowała krowy ni niczego. Spoglądała ino pilnie, bez udreki w tę twarz umiłowaną, a słuchała tego głosu, co jak ogień szedł przez serce i rozgrzewał ją dobrocią i rozczuleniem.

– Juści, że trzeba... Jałowica ostanie, ocieli się jakoś w półpoście, to się jeszcze tej kapki mleka doczekamy – przywtórzyła, byle ino on mówił dalej.

– A jakby zbrakło paszy, to się dokupi.

– Owsianki cheba, bo żytniej starczy do zwiesny. Ociec, odwalcie kopczyk, trza zajrzeć, czy ziemniaki nie przewiane.

– Siedźcie, za ciężka la<sup>34</sup> was robota, ja odkopię.

Podniósł się, zdjął kozuch, zabrał łopatę i wyszedł przed dom.

Śniegu było prawie równo z dachem, bo dom stał na wydmuchu, za wsią prawie, o dobre staje<sup>35</sup> od drogi, a nie osłonięty ni płotem, ni sadem, kilka dzikich, pokręconych trześni rosło przed oknami, ale tak były zasypane, że ino gałęzie wysuwały się ze śniegu, kiej te palce chorością poskręcane. Sprzed okien to tam stary jeszcze do dnia śnieg przekopał, zaś kopczyk z ziemniakami tak zawiało, że ani go było rozeznać spod śniegów.

Antek wziął się ostro za robotę, bo śniegu było na chłopa, a chociaż świeży, uleżał się już i stęzał nieco, że trza go było krajać w cegły; zapocił się też niezgorzej, nim odwalił, ochotnie jednak robił i był dobrej myśli, bo raz wraz rzucał pecyną na dzieci, baraszkuje przed progiem, ino chwilami, gdy mu się przypominały udreki dawne, mdlały mu ręce, zaprzestawał roboty, wspierał się grzbietem o ścianę i niósł oczami po świecie. Wzdychał i znowu się błakał duszą jak ta owca zgubiona w noc ciemną.

A dzień był chmurnawy, szarawy, a przebielone niebo wisiało nisko, śniegi rozścielały się grubym, puszystym kozuchem i leżały, jak okiem sięgnąć, modrawą i ogłuchłą, martwą równią; mgliste i przejęte stęzałymi szronami powietrze przesłaniało świat wszystkim niby przedzą; że to chałupa Bylicowa była jakby na wzgórk, to wieś widniała kieby na dłoni; rzędy kopic abo i tych kretowisk śnieżnych siedziały w podle siebie i wiedły się wydłużonym wiankiem dookoła zasypanego stawu, ani dojrzał gdzie chałupy całej, wszystkie zniknęły pod śniegiem, kajś niekajś ino czerniały ściany stodół, kłębiły się rude, torfowe dymy, to szarzały drzewiny pod śniegowymi czapami, ino głosy rażno się rozlegały w tych białościach, leciały z końca w koniec wsi, a monotonne capanie cepów dudniało głucho jak gdyby spod ziemi. Drogi leżały puste i zasypane, a na zaśnieżonych polach ni żywa dusza nie majaczyła, nic ino ta przeogromna pustka biała i martwa, zastygła w śniegach. Przemglone dale tak się stapiały, że ani rozeznać było nieba od ziemi; jedne lasy modrzały niecoś z bielm, jakby tam chmura wisiała.

Ale Antek niedługo się błakał po śnieżnym pustkowiu, nawrócił znowu oczy na wieś, za ojcową chałupą gonił, nie zdążył zaś i pomyśleć, bo Hanka ano wlaźła do dołu i stamtąd skrzeczała.

– Nie przemarzy! Wachnikom tak wiatry przeziębiły, że z pół dołu musieli świniami spaść, a nasze zdrowe.

– A dobrze. Wyjdz no, widzi mi się, że idą Żydy! Trza krowę wywieść przed dom!

– Juści, że Żydy, a nie kto drugi, juści, że te zapowietrzone! – zawołała ze złością.

Jakoż od karczmy, przez dróżkę, do cna zasypaną i ledwie co poznaczoną Stachowymi trespiskami, kopało się dwóch Żydów, juści, że pieski prawie z pół wsi goniły za nimi z wielgą uciechą i szczekaniem, a tak zajadle dobierały się do nich, aż Antek wyszedł naprzeciw i obronił.

– Jak się macie, no? Spóźnilim się, bo takie śniegi, takie śniegi! Ani przejść, ani przejechać, wiecie? A w boru to już szarwarkiem<sup>36</sup> przepokopują drogę!

---

<sup>34</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> staje a. stajanie – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> szarwark – wspólna praca całej wsi dla publicznego pożytku, najczęściej przy budowie i naprawie dróg; gospodarze byli

Nic się nie ozwał na ich gadanie, ino do izby poprowadził, by się nieco rozgrzali.

Hanka zaś wytarła krowie ognojone boki, oddoiła mleko, co się jej tam od rana uzbierało, i przewiedła przez izbę na dwór. Krowa się opierała, szła niechętnie, a przestąpiwszy próg wyciągała gębulę, wachała, to śnieg jeła zlizywać, aż ni stąd, ni zowąd zaryczała przeciągle, cicho a żałośnie, i tak się rwała z postronka, że ledwie ją stary udzierzał.

Hanka już nie mogła tego przenieść, żal ją przejął srogi i tak świdrujący, aż buchnęła płaczem, a za nią i dzieci czepiając się matczynego wełniaka uderzyły w krzyk i lament! Antkowi też nie było wesoło, nie, ino zęby zasiał, wsparł się o ścianę i patrzył na wrony, co się zleciały na rozgrzebany z dołu śnieg, a handlerze zaś szwargotali między sobą i wzięli krowę macać a oglądać ze wszystkich stron.

Juści, że Antkom zrobiło się w sercach kiej na pogrzebie, aże się odwracali od bydłatka, co próżno się targowało na uwięzi, darmo wykręcało do gospodarzy wybałuszone i zestrachane oczy, darmo porykiwało głucho.

– Jezu!... Na tom cię, krówko, pasła, na tom zabiegała, na tom starunek o tobie miała... by cię na rzeź powiedli... na zatracenie... – lamentowała Hanka tłukąc głową o ścianę, a dzieci też w płaczliwy wtór biły.

Ale po próżnicy lamenty a płacze, na darmo, bo musu, człowiecze, nie przeprosz, doli nie przemożesz ni tego, co być ma...

– Co chcecie? – spytał wreszcie starszy, siwy Żyd.

– Trzysta złotych.

– Trzysta złotych za tę chabaninę! Wy, Antoni, chory jesteście czy co?

– Ty mi od chabanin na nią nie pyskuj, byś czego nie oberwał! Widzisz go, krowa młoda, na piąty rok ledwo idzie, spaśna – wrzeszczała Hanka.

– Sza... sza... w handlu gniewu nie ma o to słowo... bierzecie trzydzieści rubli?

– Powiedziałem swoje!

– I ja mówię swoje, trzydzieści jeden... no, trzydzieści jeden i pół... no, trzydzieści dwa – dajcie rękę... no, trzydzieści dwa i pół... zgoda?

– Rzekłem.

– Ostatnie słowo, trzydzieści i trzy! Nie, to nie! – powiedział flegmatycznie młodszy i oglądał się za swoim kijem, a starszy zapinał chałat.

– Za telachną krowę!... A dyć bójcie się Boga, ludzie... krowa kiej obora, sama skóra warta z dziesięć rubli... za telachną krowę... oszukańce... Chrystobije... – jękał stary oklepując krowę, jeno że nikt nie zważał na niego.

Żydzi rozpoczęli zajadłe targi, Antek też stał twardo przy swoim, opuścił coś niecoś, ale niewiele, bo po prawdzie krowa była dużo warta, i żeby tak na zwiesnę i gospodarzowi sprzedać, dostałby pięćdziesiąt rubli jak nic. Ale gdzie mus pogania, tam bieda za orczyki ciągnie – Żydy dobrze o tym wiedziały i chocia wrzeszczeli coraz głośniej i coraz zapalczywiej bili w Antkową dłoń na zgodę, przyrzucali mało wiele, najwyżej po pół rubla...

Już było tak, że odchodzili zagniewani, już Hanka krowę ciągała z powrotem do zagrody, i nawet Antek się rozsierdził i gotów był sprzedaży poniechać, ale kupcy wrócili i jak zaczęli krzyczeć, handryczyć a przysięgać, że więcej dać nie mogą, a w ręce przebijać i krowę znowu penetrować, tak i stanęła zgoda na czterdziestu rublach i dwóch złotych postronkowego la<sup>37</sup> Bylicy.

Wyplacili zaraz na rękę; stary powiódł za nimi krowę do sań, które czekały przed karczmą, Hanka zaś z dziećmi odprowadzała krasulę aż do drogi, a co trochę to ją gładziła po gębuli, to pokładała się na niej, a oderwać się nie mogła od bydłatka ni przyciszyć frasunku i żałości...

zobowiązani do pracy z koniem i wozem, komornicy pieszo. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

Jeszcze na drodze przystanąła patrzeć za nią i pomstować z całej duszy na tych żółtków niechrzczonych! Tylą krowę stracić, to i nie dziwota, że kobiecie zagrała wątroba pomstą.

– Jakby kogo z chałupy na mogiłki wywieźli, tak pusto – rzekła z nawrotem i co trochę zaglądała do pustej zagrodki, to przez okno patrzyła na ścieżkę zdeptaną, poznaną łajnem i śladami kopyt, a raz wraz wybuchała płaczem i wyrzekaniem.

– Przestałaś, a to jak to ciele buczy i buczy! – krzyknął Antek siedząc przed rozłożonymi na stole pieniędzmi.

– Kogo nie boli, temu wszystko powoli. Nie bolała cię bieda, kiejś krowę zmarnował i Żydom na rzeź wydał!

– Hale, ozedrę się pewnie i z lelit ci pieniądze wypuszczę, co?

– Jak te ostatnie komorniki ostalim, jak te dziadaki, ani tej kapki mleka, ani pociechy żadnej! Tylem się dorobiła na swoim, tyle! Mój Jezu! Mój Jezu! Drugie zabiegają, jak te woły orzą i jeszcze coś do domu przykupują, a ten ostatnią krowę, com od ojców dostała, sprzedaje... Już chyba ostatnia marnacja przyjdzie, ostatnia! – zawodziła nieprzytomnie.

– Rycz, to ci ano ode łba odciągnie, jakeś głupia i wyrozumienia nie masz! Naści pieniądze, popłać, gdzieś winna, kup, coć potrza, a resztę schowaj! – podsunął kupkę pieniędzy, a pięć rubli papierowe schował do pularesu.

– Na co ci tyła pieniędzy?

– Na co? z kijem tylko nie pójde.

– Gdzie się to wybierasz?

– We świat, roboty poszukam, gnił tutaj nie będę!

– We świat! Wszędzie psi boso chodzą, wszędzie biednemu wiater w kłęby wieje! Sama to ostanę, co? – podnosiła głos bezwiednie i groźnie się przysuwała do niego, nie zważał na to, przyodziął się w kozuch, pasem opasał i za czapkę oglądał.

– U chłopów robił nie będę, żebym miał skapieć, nie będę! – powiedział.

– Organista potrzebuje do młocki!...

– Hale, ciarach jeden, ciołek<sup>38</sup> taki, co ino na chórze bekuje a gospodarzom w garście patrzy i żyje tym, co uprosi lebo co wycygni, do takiego na wyrobek nie pójde...

– Kto nie ma chęci, ten wie, jak wykręci!

– Nie dogaduj! – wrzasnął ze złością.

– Mówię ci co kiedy, naprzykrzam się, a dyć robisz, co chcesz!

– Do dworów pójde – mówił znów spokojnie – o służbie się jakiej przewiem, może od Godów dostanę, choćby na rataja, a pójde, byle tutaj nie śmierdzieć i krzywdy na oczach nie mieć ciągiem, bo nie zdzierzę... Dość mi tego, dość mi tego ludzkiego politunku i tego patrzenia kiej na parszywego psa!... We świat iść, gdzie oczy poniesą, byle ino z dała... byle ino prędko!... – zaczął krzyczeć i unosić się.

Hanka zamarła w przerażeniu i stała bez ruchu; jeszcze go takim nie znała.

– Ostaj z Bogiem, za parę dni wrócę.

– Antek! – krzyknęła rozpaczliwie.

– Czego? – Już z sieni nawrócił.

– A to nawet tego słowa dobrego żałujesz... nawet tego...

– Cóż to, ceckał się z tobą będę, może jamorował?... Nie to mi w głowie! – zatrzasnął drzwi i poszedł.

Poświstywał przez zęby, wspierał się kijem i szedł rażno, aż śnieg skrzypiał pod nogami, obejrzał się na chałupę. Hanka stała pod ścianą i zanosila się od płaczu, a przez drugie okno wyglądała Weronka.

---

<sup>38</sup> *ciolak* a. *ciotek* (gw.) – ciele. [przypis edytorski]

– Ścierwa, buczy i buczy! Do tego to rozum ma!... We świat! We świat! – szeptał i rozglądał się dookoła, leciał oczami wskrósł przeszroniałych bielizn śnieżnych. Rwała go tęsknota jakaś, parła, rzucała przed się, że z radością myślał o innych wsiach, o ludziach nowych i życiu innym. Niespodzianie mu to przyszło, samo z siebie nań spadło i tak go porwało z nagłą, jak kiedy wzebrana woda kierz<sup>39</sup> słaby bierze, że ani oprzeć się temu, ni nawrócić. Dola go rzuciła we świat.

Jeszcze godzinę temu ani myślał, że pójdzie, ani wiedział! Samo przyszło, że świata, z wiatrem pewnie nawiała ta chęć i rozzarzyła mu serce niepowstrzymanym pragnieniem ucieczki. Wyrobek, nie wyrobek, byle ino stąd iść... Hej! Uleciałby jako ten ptak, we wszystek świat niósłby się, na bory, na te nieobjęte ziemice... Juści, co mu tu kapieć, czego doczekać? Już go te wspominki przeżarły, że dusza na wiór wyschła, a co mu z tego?... Książd jest prawy, dobrze mu wyłożył, że w sądzie z ojcem nie wygra, a jeszcze sporo grosza dołoży. A z pomstą poczeka w sposobniejszy czas, w sposobniejszy; jeszcze takiego nie ma, któremu by darował krzywdy... A teraz ino iść przed się, gdzie bądź, byle z daleka od Lipiec...

– Gdzie by najpierwej?...

Stanął na skrócie w topolową drogę i nieco wahajaco rozglądał się po zgubionych w omgleniu polach, zimno go przejęło, że zęby mu szczękały i trząś się we środku.

– Przez wieś i drogą za młynem pójde... – zdecydował prędko i skręcił do wsi; nie uszedł jeszcze i pół staja<sup>40</sup>, gdy usunąć się musiał w bok pod topole – środkiem drogi, wprost na niego waliły jakieś sanie w kłębach kurzawy, a ostro i z dzwonieniem.

Jechał Boryna z Jagusią, sam powoził, konie rwały z kopyta podrywając sankowe pudełko kiej piórkim, a stary jeszcze podcinał batem, przynagłał i coś ze śmiechem powiadał. Jaguś też w głos mówiła, urwała naraz spostrzegłszy Antka, wpili się oczami w siebie na mgnienie, na ten jeden błysk i roznieśli w dwie strony, sanki przesunęły się wnet i utonęły w kurzawie, ale Antek z miejsca się nie ruszył, skamieniał zgoła, jeno patrzył za nimi... wychylali się czasem ze śnieżycy, to zaczerwieniły się Jagusine wełniaki, to dzwonki mocniej zajęczały, i ginęły, przepadali, jakby wskrósł tej bielizny pędzili... pod dachem oszroniałych gałęzi, co splełane jakby sklepienie czyniły, jakoby ducht przebity w śniegach, a podstemplowany czarniawymi pniami topoli, które stały z obu stron drogi i, pochylone, przyginały się niby w ciężkim, utrudzającym chodzie pod wzgórze... Patrzył wciąż w jej oczy, stały przed nim, skrzyły się w śniegach kiej te lnowe kwiatki, na drodze wyrastały wszędzie, a patrzyły zestrachane i żalodne, zdumione a radosne zarazem, przejmujące i żywym ogniem rozbłyśły.

Przygasła mu dusza, omgliła się, jakby te szrony przysypały go do dna i na wskrósł przejęły, że ino te modre oczy same jedne w nim jaśniały. Zwiesił głowę i powłókł się wolno, odwracał się raz i drugi, ale już nic nie było widać pod topolami, czasem jeno dzwonek zajęknął w oddali i kurzawa zamajaczyła. Zapomniał o wszystkim, jakby z nagłą duszę zgubił, pamięć go odeszła, oglądał się bezradnie, nie wiedzący, co począć... gdzie iść... co się stało? – jakby w sen na jawie się pograżał i ocknąć nie mógł.

Prawie nie wiedzący nawrócił do karczmy wymijając parę sań zapelnionych ludźmi, ale choć pilnie patrzył, nie rozeznał nikogo.

– Gdzie taką hurmą walą? – spytał Jankla stojącego na progu.

– Do sądu. Sprawa z dworem o krowy, o pobicie pastuchów, wiecie! Ze świadkami jadą, a Boryna pojechał przodem.

– Wygrają to?

– Po co mają przegrać! Dziedzica z Woli skarżą, sądzi dziedzic z Rudki, to i dlaczego ma dziedzic przegrać? A ludzie się przejadą, drogi przetrą, zabawią się – w mieście też potrzebują nasi utargować. Wszyscy po trochu wygrają, wszyscy.

<sup>39</sup> kierz (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> staje a. stajanie – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

Antek nie słuchał przekpiwań, kazał dać okowitki, wsparł się o szynkwas i stał tak zapatrzony przed się, nieprzytomny prawie, z dobrą godzinę, nie tknąwszy nawet kieliszka.

– Wam coś jest?

– I... co by zaś miało być... – puście do alkierza<sup>41</sup>.

– Nie można, tam siedzą kupcy, wielkie kupcy, oni drugą porębę kupili od dziedzica, tę na Wilczych Dołach, to potrzebują spokoju, może nawet i śpią.

– A to parchów za brody powyciągam i na śnieg wyciepnę! – krzyknął i rzucił się zapamiętale ku alkierzowi, ale od drzwi zawrócił, zabrał butelkę i wcisnął się za stół, w najciemniejszy kąt.

Pusto było w karczmie i cicho, tyła co tam Żydy coś zakrzyczały po swojemu, że Jankiel biegł do nich, albo ktoś wszedł na kieliszek, wypił i wynosił się.

Dzień się już przetaczał na drugą stronę, a i mróz brać musiał, bo skrzypiały płozy sań na śniegu i chłód wiał po karczmie, Antek zaś siedział, popijał z wolna, niby to medytował, a zgoła nie wiedział, co się działo w nim i dookoła.

Pił kwaterkę po kwaterce, a te oczy wciąż modrzały przed nim, tak blisko były, tak blisko, że je powiekami prawie dotykał; wypił trzecią... jaśniały wciąż, jeno się jęły kołować, chwiać i po karczmie nosić jako te światła. Mróz go przeszedł ze strachu, zerwał się na nogi, trzasnął butelką o stół, że w kawałki się rozprysnęła, i szedł ku drzwiom.

– Zapłaćcie! – krzyczał Jankiel zabiegając mu drogę – zapłaćcie, ja wam borgować<sup>42</sup> nie będę...

– Z drogi, psiakrew, Żydzio, bo cię zakatrupię! – wrzasnął z taką mocą, że Żyd zbladł i spiesznie się usunął.

Antek ino gruchnął w drzwi i wybiegł.

---

<sup>41</sup> *alkierz* (daw.) – ustronny pokoik; sypialnia; tu: mniejsze pomieszczenie w karczmie dla lepszych gości. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *borgować* (daw.) – dawać na kredyt. [przypis edytorski]

## II

Jakoś o samym południu dzień się nieco rozjaśnił, ale ino tyła, coby kto łuczywem przeciągnął po świecie, bo wnet zgasło i omroczało, jakby śnieg narastał i sposobił się znowu.

W izbie Antków też było dziwnie mroczno, chłodno i smutnie; dzieci bawiły się na łóżku i z cicha do się krzekorzyły, kiej te kurczątko zestraszone, a Hanke tak podrzucała niespokojność, że rady sobie dać nie mogła. Chodziła z kąta w kąt, wyglądała przez okno, to przed domem stała i rozpalonymi oczami wodziła po śniegach. Hale, ani żywej duszy nie ujrzała na drogach ni na polach – parę sań przewlekło się od karczmy i zginęło pod topolami, jakby się zapadły w tej śniegowej topieli, że ni znaku, ni głosu nie ostało po nich. Nic, jeno ta cichość zmartwiła i pustka nieprzejrzana!

– Żeby choć ten dziad jaki zajrzał, żeby choć z kim zagadać! – westchnęła.

– Kucusie! Kucu, kucu, ku-cu! – zaczęła gonić po śniegach kury, bo się rozłaziły i szukały miejsc na trześniach<sup>43</sup>. Pozanosila je na grzędę, a z powrotem wywarła głębę na Weronkę, bo jakże, tamta wystawiła do sieni cebratkę z pomyjami dla gadziny, a te zapowietrzone świntuchy rozlały na ziemię, że kałuża stanęła pod drzwiami.

– ...To świń pilnuj, kiej się za gospodynię masz, dzieciom przykaż... ja bez<sup>44</sup> ciebie nie będę się taplała w błocie! – wykrzykiwała przez drzwi.

– ...Sprzedała krowę, to głos tu będzie zabierać, ale, błoto już jej przeszkadza, wielka pani, a sama kiej w chlewie siedzi...

– ...Tobie wara, gdzie siedzę, i wara ci do mojej krowy!

– ...To i do moich prosiaków ci wara, słyszysz!

Hanka ino trzasnęła drzwiami, bo co miała odpowiadać takiej piekielnicy? – rzec jej to jakie słowo, to ona i na półkopku<sup>45</sup> nie poprzestanie, a jeszcze i do bicia gotowa. – Przywarła drzwi na haczyk, wydobyla pieniądze i wzięła się biedzić nad rozliczaniem. Niemało się utrudziła nad tylachnem pieniędzy, a i myliło się jej wciąż; zgniewana jeszcze była na Weronkę i niespokojna o Antka, to znowu widziało się jej często, że krasula czegoś postępuje... albo ją zalewały przypominki ojcowego domu.

– ...Juści, że jakby w chlewie siedzimy, juści! – szeptała rozglądając się po izbie – a tam i podłoga, okna jak się patrzy, ściany bielone, i ciepło, i czysto, i wszystkiego po grdykę... Co oni tam robią?... Józka zmywa statki po obiedzie, a Jagna przedzie i przez czyste, niezamarzłe szyby na świat spogląda... brak jej to czego!... Wszystkie korale dostała po nieboszczce, a tyle wełniaków, tyle szmat, tyle chust!... Nie narobi się, nie umartwi niczym, tłusto zje... Stacho powiedział przecie, że Jagustynka za nią robi, a ona do białego dnia się wyleguje pod pierzyną i herbatę popija... ziemniaki jej nie służą... a stary się ino przymila i kiej koło dzieciątka zabiega...

Gniew ją przejął nagły, aż się porwała od skrzynki i pogroziła pięścią.

– Złodziej, ścierwa, złodziej, lakudra jedna, tłuk! – wykrzyknęła w głos, aż stary, co był na przypiecku drzemał, zerwał się przestraszony.

– Ociec, przytkajcie ziemniaki ocipką i dół obwalcie śniegiem, bo na mróz się ma – szepnęła spokojniej zabierając się znowu do liczenia.

Staremu coś niesporo szła robota, śniegu była kupa, a sił wiele nie miał, a i te dwa złote postronkowego nie dały mu spokoju, na stole świeciły się dwie złotówki, prawie nowe, dobrze pamiętał..

– Może i dadzą... – myślał – komuż to się przynależą?... aż mu kulas stergł od postronka, tak się krasula wydzieriała... wstrzymał przeciech... a kupcom to nie zachwalał? słyszeli... cheba

---

<sup>43</sup> trześnia (gw.) – czereśnia. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> bez (gw.) – przez. [przypis edytorski]

<sup>45</sup> półkopkek (daw. a. gw.) – trzydzieści. [przypis edytorski]

dadzą... Zaraz by starszemu, Pietrusiowi, na pierwszym odpuszcie kupić organki... młodszemu by też trza... Weronczynym dzieciom też... zbóje są i uprzykrzone, ale trza... a sobie tabaki... krzepkiej ino, jażby we wątpiach zawierciło, bo Stachowa słaba... ani człek nie kichnie od niej... – Rozliczał, a tak żwawo robił, że gdy w godzinę jaką Hanka wyrzała, to ledwie słoma była pokryta śniegiem.

– Za chłopa to zjecie, ale i za dziecko nie zrobicie...

– A dyć się spieszę, Hanuś, inom się zadychał zdziebko, tom tego powietrza łapał... pierunem będzie... pierunem... – jękał przestraszony.

– Wieczór już pod lasem, mróz bierze, a cały dół rozwalony, jakby go świnię spyskały. Idźcie do chałupy dzieci pilnować.

Sama się zabrała do śniegu i tak ostro, że w jakie dwa pacierze dół był przywalony i galanto<sup>46</sup> oklepamy.

Ale mroczyć już poczynało, gdy skończyła, w izbie chłód się podnosił przejmujący, gliniary, mokry tok tężał i dudnił pod trepami kiej klepisko, mróz brał z miejsca i znowu a wzorzysto pokrywał szybki, dzieci skwierczały z cicha, jakby przygłodne nieco, nie przyciszała ich, bo czasu nie było. A to sieczki musiała urznąć dla jałowicy, prosiaka nakarmić, bo pokwikał i cisnął się do drzwi, gąski napić, a to jeszcze raz przepowiedziała sobie, ile i komu miała zapłacić, aż obrządziwszy wszystko zabrała się do wyjścia.

– Ociec, napalcie ogień a miejcie baczenie na dzieci, za parę pacierzy przyjdę, a jakby Antek wrócił, to kapusta jest w rynce na blasze...

– Dobrze, Hanuś, napalę, przypilnuję, a kapusta jest w rynce, baczę, Hanuś, baczę...

– A te postronkowe wzięłam, nie potrza wam przecież, jeść macie, szmaty macie, czegoż wam więcej?...

– Juści... wszystko mam, Hanuś, wszystko... – szeptał cichutko, odwrócił się szybko do dzieci, bo łyzy posypały mu się z oczów.

Mróz ją obwionął na powietrzu, że mocniej zaciągnęła zapaskę na głowę, śnieg skrzypiał pod nogami, na ziemię sypał się mrok modrawy, suchy i dziwnie przejrzysty, niebo było jasne, kieby szklane, odstonięte w dalach i już kajś niekajś w wysokościach trzęsła się gwiazda jedna i druga.

Hanka raz wraz macała za pazuchą, czy ma pieniądze, a rozmyślała, że przepyta się tu i owdzie, a może znajdzie, może uprosi robotę jaką dla Antka, a we świat mu iść nie da! Teraz dopiero przyszło jej do głowy, co był wygadywał, i aż ją zamroczyło to przypomnienie. Nie, póki życia na drugą wieś się nie przeniesie, pomiędzy obcych nie pójdzie, ady by uschnęła z tęsknicy!

Ogarnęła oczami drogę, zasypane domy, sady ledwie widne spod śniegów i te szarzące nieskończone pola. Wieczór cichy i mroźny opadał coraz prędzej, gwiazd przybywało, jakby je kto rozsiewał pełną garścią, a na ziemi przygasłej wskroś śnieżnych bielizn wyblyskiwały światełka chałup, dymy czuć było w powietrzu, ludzie snuli się po drodze, głosy jakieś leciały nisko nad śniegami.

– Z tegom wyrosła i jako ten wiater nie będę się tłukła po świecie, nie! – szeptała z mocą, zwolniła nieco, bo zapadała miejscami w chrupiący śnieg aż po kolana, że trepy trzeba było wyciągać!

– Tu mnie Pan Jezus dał na świat, to już tutaj do śmierci ostanę. Aby ino do zwiesny<sup>47</sup> przetrzymać, to już łacniej będzie, lekciej. A nie zechce Antek robić, to i tak po proszonym nie pójdę, do przedzenia się wezmę, do tkania, do czego bądź, byle ino pazury zaczepić i biedzie się nie dać... prawda, dyć Weronka a tkaniem zarabia tyle, że jeszcze i ten grosz zapasny mają...

– rozważała skręcając do karczmy. Pochwaliła Boga, Jankiel odrzekł: „Na wieki!” i kiwał się zwyczajnie nad książką nie bacząc na nią, dopiero gdy położyła przed nim pieniądze, uśmiechnął się przyjaźnie, rozjaśnił więcej światło w lampie wiszącej, pomógł jej liczyć i nawet wódką poczęstował. O Antkowym zaś długu ni o nim samym nie rzekł ni słowa; zmyślna jucha była, bo co ta kobiecie

---

<sup>46</sup> galanto (gw.) – elegancko, porządnie. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> do zwiesny (gw.) – do wiosny. [przypis edytorski]

wiedzieć o chłopskich jenteresach, w głowę dobrze nie weźmie, nie wyrozumie, jak potrza, a ino z pyskiem wyjechać gotowa. Dopiero kiej się zabierała do wyjścia, powiedział:

– A wasz co robi?

– Antek?... A poszedł szukać roboty!

– Bo to we wsi brak? We młynie tartak robią, ja też potrzebuję kogo sprawnego do zwózki drzewa.

– Hale, w karczmie mój robił nie będzie! – wykrzyknęła.

– Niech sobie śpi, niech wypoczywa, kiedy taki pan! Wy macie gęsi, podpaście trochę, kupię na święta.

– Zaśbym tam sprzedawała, ostawiłam ino tyła, co na chowanie!

– Kupicie na wiosnę młode, mnie potrzeba podpasionych. Chcecie, to możecie brać na borg<sup>48</sup> wszystko, a zapłacicie gęsiami, policzymy się...

– Nie, gąsków nie przedam.

– Sprzedacie, jak krasulę zjecie, to nawet tanio sprzedacie.

– Niedoczekanie twoje, parchu jeden! – szepnęła wychodząc.

Mróz brał, aż w nozdrzach wierciło, niebo iskrzyło się już gwiazdami, a od borów pociągał mroźny, szczypiący wiatr. Szła jednak wolno środkiem drogi i ciekawie się rozpatrywała po chałupach: świeciło się u Wachników, którzy siedzieli ostatni przed kościołem; z obejścia Płoszków buchała wrzawa głosów i kwiki świń; w plebanii gorzały wszystkie okna i jakieś konie były niecierpliwie kopytami przed gankiem; u Kłębów zaś, co w podle księdza siedzieli, też jaśniało światło i ktosik chodził koło obór, bo słyhać było skrzypienie śniegu pod trepami, a dalej, sprzed kościoła, skąd wieś się rozchodziła kieby w te dwie ręce obejmujące staw, mało co było widać wskroś nocy, ino gdzieniegdzie z mrocznej bielizny<sup>49</sup> mżyło światełko jakieś albo pies naszczekiwał.

Hanka popatrzyła ku ojcowej chałupie, westchnęła i zawróciła sprzed kościoła w długie opłotki, wiodące między Kłębowym sadem a księżym ogrodem do organistów. Dróżka była zasypana, ledwie co przetarta, wąska, a tak przysłonięta krzami<sup>50</sup> obwisłymi pod śniegiem, że co chwila sypał się na nią z traconych gałęzi.

Dom stał w głębi, w księżym podwórzu, a ino wyjazd miał osobny, krzyki jakieś odeń szły i płacze, a przed sienią czerniała skrzynka, to leżały na śniegu porozrzucane szmaty, pierzyna, rupiecie jakieś... Magda, dziewczka<sup>51</sup> organistów, zanosila się płaczem i krzyczała wniebogłoso pod ścianą.

– Wygnali me! Wypędzili me! Jak tego psa na mróz, w cały świat! A gdzie ja się sierota podzieję teraz?... Gdzie?

– Nie krzycz mi tu, świniu jedna! – wrzasnął głos z sieni wywartej. – Wezmę kija, to wnet zmilkniesz! A wynoś mi się w te pędy, do Franka idź, łajdusie jeden! Jak się macie, Borynowa! Mościwewy, a to już od jesieni wiadomo było... a mówiłam, prosiłam, zaklinałam, strzegłam – a bo to łajdusa ustrzeże! Wszyscy spać, a ona we świat, wypacerowała teraz sobie bękart! A bo to raz mówiłam: Magda, zastanów się, pomiarkuj, on się z tobą nie ożeni... to mi się w żywe oczy zapierała wszystkiego! Juści, zobaczyłam, że dziewczka grubieje i rośnie jak na drożdżach, to jej jak komu dobremu powiadam: Idź, skryj się gdzie na drugą wieś, póki czas, póki ludzie nie wiedzą jeszcze... A bo to usłuchała!... Aż ją dzisiaj wzięły boleści w oborze przy dojeniu... cały skopek<sup>52</sup> mleka wylała... a moja Frania przylata zestraszona i krzyczy, że Magdzie się coś stało! Jezus Maria, w moim domu taki wstyd, a co by to i ksiądz proboszcz na to powiedział! A wynoś mi się sprzed domu, bo cię na drogę wyrzucić każe! – wrzasnęła raz jeszcze wyskakując przed dom.

---

<sup>48</sup> *borg* (daw.) – kredyt. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *bielizna* – tu: biel śniegu. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *kierz* (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> *dziewka* – tu: służąca. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *szkopek* a. *skopek* – naczynie, kubetek. [przypis edytorski]

Magda porwała się spod ściany i z płaczem a wyrzekaniem zaczęła zbierać szmaty i wiązać w toboły.

– Chodźcie do mieszkania, bo zimno. Żeby mi tu i znaku po tobie nie zostało! – krzyknęła na odchodnym.

Powiedła Hankę przez długą sień.

Ogromną niską izbę rozświetlał ogień, płonący na trzonie komina. Organista rozdziany, w koszuli tylko i z podwiniętymi rękawami, czerwony jak rak, siedział przed ogniem i piekł opłatki... co chwila czerpał łyżką z michy rozrobione, płynne ciasto, rozlewał je na żelazną formę, ścisnął, aż syczało, i kładł nad ogniem wspierając na cegle sztorcem ustawionej, przewracał formę, wyjmował opłatek i rzucał na niski stół, przed którym siedział mały chłopak i obcinał nożyczkami do równa.

Hanka pozdrowiła wszystkich, a organiścinę pocałowała w rękę.

– Siadajcie, rozgrzejcie się, cóż tam u was słyhać?...

Juści, tak zaraz nie mogła się zebrać na to jakie słowo, nie śmiała, rozglądając się po stancji<sup>53</sup> i zazierając ukradkiem do drugiego pokoju, gdzie wprost drzwi, na długim stole pod ścianą, bieleły się stosy opłatków, przyciśnięte deską, a dwie dziewczyny składały je w paczki okręcając papierowymi packami, zaś w głębi już niedojrzanej brzęczał monotennie głos klawikordu – muzyka snuła się jak pajęczyna, raz wyżej brała, górnij kieby w śpiewie, to znowu cichła, że ino to brzękliwe przebieranie było słyhać, abo zasię cosik się rwało nagle i piskało przenikliwie, aż dreszcz Hankę przenikał, a organista wykrzykiwał:

– Te, trąba, zjadłeś fis<sup>54</sup> jak skwarek! – powtórz od *Laudamus pueri*...

– Na Gody<sup>55</sup> to już? – spytała, że to nieobyczajnie było siedzieć jako ten mruk.

– Tak, parafia wielka, porozrzucana, a wszystkim przecież trzeba opłatki roznieść przed świętami, to i wczas zaczynać muszę.

– Z pszenicy to?

– Spróbujcie.

Podał jej jeszcze gorący opłatek.

– Zaśbym tam śmiała jeść!

Wzięła go przez zapaskę i przeglądała pod światło ze czcią i trwogą jakąś.

– Jak to na nim wyciśnięte historie różne, Jezus!

– Na prawo, w pierwszym kółku, to Matka Boska, święty Jan, Pan Jezus, a w drugim kółku... widzicie... żłób, drabinę, bydłatka... Dzieciątko Jezus na sianie, święty Józef, Matka Boska, a tu kłęczą trzej królowie... – objaśniała organiściņa.

– Rychtyk<sup>56</sup> prawda, jak to zmyślnie wszystko udane, prawda!...

Obwinęła w chustkę opłatek i schowała za pazuchę, bo chłop jakiś wszedł i coś powiedział, że organista krzyknął.

– Michał! Do chrztu przyjechali, weź klucze i idź do kościoła, bo Jambroży posługuje na plebanii, ksiądz już wie...

Muzyka umilkła i przez izbę przeszedł wysoki, blady chłopak.

– Po bracie mojego<sup>57</sup> sierota, na organistę praktykuje, z łaski jeno mój go uczy, cóż robić?... Trza się i nadszarpnąć, a krewniakowi pomóc...

Hanka się rozgadała, pomału, jęklawie, a dała upust żalom swoim i turbacjom. Od trzech tygodni pierwszy raz mogła się wygadać do syta.

---

<sup>53</sup> *stancja* – tu: mieszkanie. [przypis edytorski]

<sup>54</sup> *zjadłeś fis* – tj. pominąłeś jedną nutę. [przypis edytorski]

<sup>55</sup> *Gody* – Boże Narodzenie. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> *rychtyk* (gw.) – akurat, właśnie. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *mój* (gw.) – mój mąż. [przypis edytorski]

Słuchali jej. Powiadali swoje, a choć się strzegli, aby o Borynie nie powiedzieć słowa, uzalali się nad nią tak poczcziwie, aż się pobeczwała, a organiścina, że to mądra kobieta, wnet zmiarkowała i pierwsza rzekła:

– Czasu może wam co zbędzie, to byście oprzędli mi wełnę. Pakulinie miałam dać, ale weźcie wy; tylko na kółku oprzędźcie, bo na przęślicy nić wyjdzie nierówna.

– Bóg zapłać, a dyć mi trza roboty, inom prosić nie śmiała...

– No, no, nie dziękujcie; człowiek powinien pomagać drugiemu. Wełna już gręplowana, a będzie jej ze sto funtów.

– Uprzędę, umiem dobrze, przecież u ojca samam dla wszystkich i przędła, i tkła, i farbowała, nie kupowali na przyodziewek, nie.

– Obaczcie, sucha i miętka.

– Musi być z dworskich owiec, śliczna wełna...

– A jakby wam było potrzeba mąki, kaszy, grochu, to powiedzcie, dam wam, policzymy się w robocie.

Wprowadziła ją do komory, gdzie pełno było worów i beczek ze zbożem; połcie słoniny wisały na ścianie; przędza całymi pękami zwieszała się od belek, a płótno grubachnymi wałami leżało na kupie, a co grzybów suszonych, serów, słoików różnych, a na półkach cały rząd bochnów kiej koła, a inszego dobra to by i nie zliczył.

– Równiūsko oprzędę, na kółku, Bóg zapłać pani za wspomóżenie, ale widzi mi się, co nie udźwignę sama wełny.

– Odeślę wam przez parobka.

– Dobrze, bo to i na wieś jeszcze mi potrza.

Jeszcze raz podziękowała, ale ciszej jakoś i chłodniej – zazdrość ją ugryzła w serce.

– Naród wszystkiego da, naniesie, przysposobi, to mają pełne komory; albo to i presentami nie zdziera! Kto ma owce, ten ma, co chce! Niechby tak sami wyrabiali! Hale!... – rozmyślała wychodząc w opłotki.

Po Magdzie nie było już śladu, tyła ino, że jakieś stare trepisko czerniało na śniegu, przyspieszyła kroku, bo późno już było, zasiedziała się nieco u organistów.

– Gdzie by to, u kogo przepytać się o robotę la<sup>58</sup> Antka?

Jak gospodynią była, to i przyjacielstwo z nią trzymali wszyscy, ciągiem ktoś do chałupy zaglądał, czegoś potrzebował i w oczy dobrość świadczył... a teraz stoi oto w pośrodku drogi i biedzi się, gdzie iść, do kogo?... Nie, napraszała się nie będzie nikomu, rada by ino z kobietami pogwarzyć po dawnemu.

Postała przed Kłębami, postąła przed Szymonową chałupą, ale wejść nie weszła, nie śmiała i przypomniało się jej, że Antek przykazywał nie zadawać się z ludźmi.

– Nie poradzą, nie wspomogą, a uzalać się będą nad tobą jak nad zdechłym psem! – mówił.

– Oj prawda, święta prawda! – szepnęła przypominając organistów.

Hej, żeby to ona chłopem była, zaraz by się jęła roboty i zaradziła wszystkiemu. Nie skamlałaby i ludziom przed oczy nie świeciłaby swoją biedą.

Poczuła w sobie taki wilczy głód pracy, takie rozpieranie sił, aż się przeciągnęła i mocniej stąpała, raźniej. Ciągnęło ją też, ciągnęło, by przejść obok ojcowej chałupy, by zajrzeć choćby ino w opłotki, by choć oczy nacieszyć, ale zawróciła sprzed kościoła na ścieżynkę utorowaną środkiem zamarzłego stawu i biegnącą ku młynowi i szła prędko nie rozglądając się na boki, tym ino zajęta, by się na śliskim lodzie nie pośliznąć i by prędeż przejść, i nie widzieć, nie rozkrwawiać sobie duszy przypomnieniem, ale nie zdzierzyła, bo tak jakoś na wprost Borynów przystanęła nagle i nie miała mocy oderwać oczów od światła mżących w oknach.

---

<sup>58</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

– A przecież to nasze, nasze... jakże to iść we świat... Kował by wnet zabrał... nie, nie ruszę się stąd... jak pies warowała będę, czy Antek chce, czy nie... Ociec nie wieczny, a może się co jeszcze przemieni... dzieciaków na poniewierkę nie dam ni sama nie pójdę... toć to ich... nasze... – marzyła wpatrzona w ośnieżony sad, z którego występowały zarysy budynków, białe rozsrebrzone dachy, czerniały ściany, występował w głębi za szopą ostry szczyt brogu<sup>59</sup>. Jakby jej wrosły nogi w lód, że ruszyć się nie mogła ni oderwać oczów, ni serca rozkołatanego.

Noc cicha, mroźna, granatowa, osypana gwiazdami, jakoby tym piaskiem srebrnym, obtulała zaśnieżoną ziemię, drzewa stały bez ruchu, pochylone pod ciężarem śniegów, uśpione, niepojęte w tej cichości, jaka się rozlewała nad światem, niby białe cienie widm, niby stężałe opary, śniegi skrzyły się ledwie uchwytnie, głos wszelaki zamarł, że tylko coś, jakby szelest drgających gwiazd, jakby tętna ziemi przemarzłej, jakby senne dychanie drzew zamartwiały – drżało w mroźnym powietrzu.

A Hanka stała wciąż, niepomna na czas biegnący ni na szczypiące, ostre zimno. Przywarta oczami do domu, piła go, obejmowała sercem i brała w siebie z całą mocą głodu i marzenia.

Zbudził ją dopiero skrzyp śniegu, ktoś zeszedł z drogi na staw i kierował się ku niej, a po chwili spotkała się oko w oko z Nastką Gołębianką.

– Hanka! – wykrzyknęła zdumiona.

– Dziwujesz się, jakbym już stergła i po śmierci straszyla!

– Co wam też do głowy przychodzi, dawnom waju<sup>60</sup> nie widziała, tom się zdziwiła. W którą stronę idziecie?

– A do młyna.

– To i mnie droga, bo Mateuszowi niosę kolację.

– We młynie teraz robi, na młynarczyka praktykuje?...

– Gdzieby tam zaś na młynarczyka się sposobił! Na tartaku, co go to postawili przy młynie, a pilno mają, że już i wieczorami robią.

Szły obok siebie, Hanka mało które słowo rzekła, a ino Nastka trzepała wciąż, ale się strzegła, by o Borynie nic nie powiedzieć, juści, że o to Hanka nie spytała, nijako było, choć rada by posłuchała.

– Dobrze młynarz płaci?

– Po pięć złotych i groszy piętnaście bierze Mateusz...

– Aż tyła! Pięć złotych...

– Przecież jego to głową wszystko idzie, to i nie dziwota.

Hanka milczała, ale przechodząc wprost kuźni, z której przez wybite szyby buchały czerwone światła i krwawiły śniegi, szepnęła:

– Ten judasz zawsze ma co robić.

– Czeladnika se przybrał, a sam ciągiem jeździ, pono z Żydami spółkę trzyma w lesie i razem ludzi oszukują.

– Tną to już poręby?

– W lesie to siedzicie czy co, że wam nie wiadomo?

– Nie w lesie, ale za nowinami nie biegam po wsi.

– A to żebyście wiedzieli, rąbią, ale na przykupnym.

– Juści, naszego przecież nie pozwolą tknąć...

– Ino nie wiada, kto zabroni, wójt trzyma ze dworem, sołtys też i wszyscy, co bogatsi.

– Prawda, kto ta bogaczów zmoże, kto ich przeprze... A zajrzyj, Nastuś, do nas.

– Idźcie z Bogiem, przylecę którego dnia z kądzielą.

Rozstały się przed młynarzowym domem. Nastka poszła do młyna, na dół nieco, a Hanka przez podwórze do kuchni; ledwie się tam dostała, bo pieski się zleciały i zaczęły doszczekiwać i przypierać

<sup>59</sup> *bróg* – oparte na czterech słupach słomiane zadaszanie, pod którym składowano siano lub niewymłócone zboże. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *waju* (gw.) – was. [przypis edytorski]

ją do ściany, aż Jewka obroniła i powiedła, ale nim się rozgadały, weszła młynarzowa i zaraz prosto z mostu rzekła:

– Do męża macie interes? Jest we młynie.

Nie czekała, ino poszła, ale spotkała się z nim w pół drogi; poprowadził ją do pokoju, zaraz też zapłaciła mu, co była winna za kaszę i mąkę.

– Krowę zjadacie! – powiedział zgarniając pieniądze do szuflady.

– Cóż poradzić, kamieni przeciech nie ugryzie.

Zła była.

– Wałkoń jest wasz chłop, to wam powiem.

– Jest wałkoń abo i nie jest! Cóż to będzie robił? Gdzie? U kogo?

– Nie ma to młocki we wsi?

– Parobkiem ni wyrobnikiem nie był, to i nie dziwota, że się do tego nie rwie.

– Przyzwyczaj się jeszcze, przyzwyczaj! Szkoda mi chłopca, choć wilkiem patrzy i nieustępliwy, rodzonego<sup>61</sup> nie uszanował, ale szkoda człowieka...

– A dyc mówili... że jest robota u pana młynarza... dopraszam się... może by pan Antka wziął do roboty... dopraszam się... – buchnęła płaczem, obłapiała go za nogi, całowała po rękach, a prosiła gorąco.

– Niech przyjdzie, prosił go nie będę, robota jest, ale ciężka, przy obróbce drzewa pod piły...

– Dyc poradzi, sposobny do wszystkiego, jak mało kóten we wsi...

– Wiem, dlatego mówię, żeby przyszedł do roboty, ale swoją drogą źle wy swojego pilnujecie – źle.

Stanęła wystraszona nic nie rozumiejąc.

– Chłop ma dzieci i żonę, a za drugimi się ugania.

Zbladła i poczęła się trząść w sobie.

– Prawdę mówię, wałęsa się po wsi nocami, widzieli go ludzie nie raz jeden...

Odetchnęła z ulgą ogromną, wiedziała przecież o tym i dobrze rozumiała, że go tak pamięć krzywdy rzuca po nocach i spać nie daje... a ludzie zaraz to sobie farbują na swoje.

– Mógł się już wziąć do roboty, zaraz by mu wywietrzały z głowy kochania.

– Gospodarski syn to...

– Dziedzic jucha, w robocie będzie przebierał, jak ta świnia w pełnym korycie. Kiedy taki przebierny, to trzeba było żyć w zgodzie z ojcem, a za Jagusią nie latać... boć to i grzech niemały, i wstyd...

– Co też panu w głowie powstało? co? – zawołała prędko.

– Mówię wam, jak jest, cała wieś o tym wie, spytajcie się! – zawołał głośno i prędko, że to popędliwy był wielce i zawsze rad prawdę rznał prosto z mostu.

– Czy to ma przyjść? – zapytała cicho.

– Niech przyjdzie, choćby jutro. Co to wam, czego becycie?...

– Nie, nie, to ino z mrozu...

Wolno powracała, ciężko, jakby ją przygniatało do ziemi, że ledwie nogi podnosiła. Ściemniał świat i śniegi tak poszarzały, że jakoś trafić nie mogła na ścieżkę, próżno przecierała oczy z łez marznących u rżes, próżno... Nie odszukała, nie widziała nic i szła już w tej ciemnicy nagłej a bolącej; Jezus! jak bolącej.

– Za Jagusią lata, za Jagusią...

Tchu nie mogła złapać, a serce się jej tłukło jako ten ptak przetrącony, a w głowie kołowało, kołowało, aż wsparła się o jakieś drzewo nad stawem i cisnęła się doń mocno, do bólu.

– Może i nieprawda, może ino cyganił...

Uczepiła się tego ze strachem i oburącz trzymała.

---

<sup>61</sup> rodzonego – w domyśle: ojca. [przypis edytorski]

– Mój Jezus! Nie dość biedy, nie dość poniewierki, a tu jeszcze i to się zwała na moją biedną głowę, i to... – jęknęła rzewnie i aby stłumić ból, zaczęła biec prędko, aż do utraty tchu i przytomności, jakby ją wilki goniły, wpadła do izby zadyszana, ledwie żywa.

Antka jeszcze nie było.

Dzieci siedziały przed kominem na dziadkowym kozuchu, a stary strugał im wiatrak i zabawiał.

– Przywieźli weinę, Hanuś, we trzech workach przywieźli...

Rozwiązała wory i w jednym z nich na wierzchu znalazła bochen chleba, kawał słoniny i z dobre pół garnca kaszy.

– Niech ci Pan Jezus odpłaci za dobrość – szepnęła rozrzewniona i zaraz też narządziła sutą kolację, i rychło dzieci spać położyła.

Uciszyło się wnet w całym domu, bo u Weroniki już spali, a stary też wkrótce przyległ na przypiecku i zasnął, Hanka zaś wyporządziła kółko, siadła przed kominem i przędła.

Długo w noc siedziała, do pierwszych kurów, a wciąż, jak ta nić, wiło się przez nią młynarzowe powiedzenie: „Za Jagną lata, za Jagną.”

Kółko warczało z cicha, jednostajnie, niestrudzenie, noc zaglądała w okno miesięczną, mroźną twarzą i jakby pobrzękiwała w szybki, i wzdychający tuliła się do ścian, a chłód wypełzał z kątów, za nogi chwytał i siwą pleśnią rozrastał się po glinianym toku; świerszcz strzykał za kominem, ino czasem przerwał, gdy które dziecko zakrzyczało przez sen lubo rzuciło się na łóżku – i znowu stawała głęboka, przemarznięta cichość! Mróz brał coraz cięższy i kieby żelaznymi pazurami ścisnął, bo raz wraz trzaskały deski w szczycie, to pogięte stare ściany łupnęły, jakby kto strzelił, to belka niektóra pęczniała od mrozu potrzaskując z cicha, to snadź ziąb przejął na wskroś przyciesie, że zadygotały z nagłą boleśnie, i cały dom kurczył się, przywierał do ziemi a drgał z zimnicy.

– Że mnie też do głowy nie przyszło! Juści, taka urodna, taka spaśna, taka przypochebna, a ja co?... Chuchro takie, skóra i gnaty, cóż ja? Czy to umiem go zniewolić do się? czy to śmiem? A choćbym i żyłę każdą wypruła la<sup>62</sup> niego, nic to, kiej serca la mnie nie ma. Cóż ja! Cóż?...

Niemoc ją ogarneła, niemoc ogromna, cicha i bolesna, tak strasznie bolesna, że nawet płakać nie mogła, nie miała sił, trzęsła się ino w sobie jako ta drzewina drętwiąca z zimna, co ani uciecze od męki, ni poratunku uprosi, ni obronić się poradzi – jako ta drzewina skrzytowała Hanczyna dusza. Wsparła głowę na kółku, opuściła ręce i zapatrzyła się przed się, w swoją dolę nieszczęsną, w gorzką bezmoc swoją, i długo, długo tak trwała, ino kiedy niekiedy spod sinych powiek wysuła się łza jaka paląca i padała na weinę, i zamarzała tam w krwawy różaniec boleści.

Ale nazajutrz wstała spokojniejsza nieco, bo i jakże, miała to czas na turbowanie jak jaka dziedziczka! Może tak jest, jak młynarz powiadał, a może i nie jest! Opuści to ręce, płakać będzie i wyrzekać, kiej wszystko na jej głowie, i dzieci, i gospodarstwo, i bieda cała! Kto temu zaradzi jak nie ona? Tylko pomodliła się gorąco przed Matką Bolesną i żeby Pan Jezus odmienił, to się ochfiarowała iść na zwiesnę<sup>63</sup> do Częstochowy, na trzy msze dać i kiedyś, jak się zapomoże, zanieść cały kamień wosku do kościoła, na światło przed wielki ołtarz.

Ulżyło jej bardzo, jakby się wyspowiadała i ten Sakrament święty wzięła, że ostro zabrała się do przedzenia, tylko dzień, chociaż był słoneczny i jasny, dłużył się jej niepomiernie i rozbierała ją troska o Antka.

Przyszedł dopiero wieczorem, na samą kolację, ale był taki zbiedzony, zmarnowany i cichy, a tak się witał pocziwie, dzieciom bułek przyniósł, że prawie zapomniła o podejrzeniach, a gdy jeszcze urznął sieczki i pomagał jej przy obrządku, jak mógł, rozczuliła się tak głęboko, że i wypowiedzieć trudno.

Nie mówił tylko, gdzie był i co robił, juścić nie śmiała o to pytać.

---

<sup>62</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

<sup>63</sup> zwiesna (gw.) – wiosna. [przypis edytorski]

Po kolacji przyszedł Stach, jak to był często zaglądał, choć mu Weronka broniła, a w jakiś czas po nim najniespodziewaniej zjawił się stary Kłęb.

Nie mało się zdziwili, bo pierwszy to był człowiek ze wsi od czasu ich wygnania, i tak rozumieli, że z jakimś interesem przychodzi.

– Że to nikt ani się pokaże, tom umyślił waju<sup>64</sup> odwiedzić – rzekł prosto.

Dziękowali mu też ze szczerą i głęboką wdzięcznością.

Siedli se rzędem na ławie, blisko komina, i pogadywali wolno, poważnie, a stary dorzucał gałązek na ogień.

– Mróz niezgorszy, co?

– Że i młócić bez kozucha i rękawic trudno – powiedział Stacho.

– A co gorsza, że i wilki się pokazują.

Ze zdumieniem spojrzeli na Kłęba.

– Prawdę mówię, dzisiejszej nocy podkopywały pod wójtów chlew, musiało je coś spłoszyć, że prosiaka nie wzięły, a wygrzebały jamę aż pod przycieś, sam chodzę w południe oglądać, pięciu ich musiało być najmniej!

– To ani chybi, na ciężką zimę znak.

– Przeciech mrozy dopiero co wzięły i tu już wilki wychodzą...

– Widziałem pod Wolą, na tej drodze za młynem, wiecie, gęsty ślad, jakby całe stado szło na ukos drogi, przyglądałem się, alem myślał, że to pańskie psy polowe, a to wilki musiały być... – powiedział żywo Antek.

– Byliście to i w porębie? – zagadnął Kłęb.

– Nie, powiadali ino ludzie, że tną ten przykupny las, przy Wilczych Dołach.

– Powiedział i mnie borowy, że dziedzic nikogo z Lipiec wołać nie będzie do roboty, pono przez złość, że się o swoje upominają.

– Któż mu to las wytnie, jak nie Lipczaki? – wtrąciła Hanka.

– Moiściewy, tyła wszędy narodu próżno siedzi po chałupach i czeka roboty kiej zmiłowania. Mało to w samej Woli, mało to tych kołtunów w Rudce albo i tamtych smoluchów w Dębicy! Niech ino dziedzic krzyknie, to w jeden dzień stanie parę sto najzdatniejszego chłopa. Póki na przykupnym rąbią, niech sobie rąbią, niech się wspomoga, niewiele tam tego, a i dla naszych za daleko.

– A jak nasz bór zaczna?... – zapytał Stacho.

– Nie damy! – rzucił krótko i mocno Kłęb. – Pobarujemy się! niech dziedzic zobaczy, kto mocniejszy, on czy cały naród? niech zobaczy!

Nie mówili już o tym, zbyt to leżało wszystkim na wątrobie i piekło, ino jeszcze Bylica powiedział jākajaco i nieśmiało:

– Znam ja to plemię dziedzicowe z Woli, znam, figła on wam wystroi...

– Niechaj stroi, nie dziecim, to nas nie zwiedzie – zakończył Kłęb.

Pogadali jeszcze o wypędzeniu Magdy przez organistów, po czym Kłęb rzekł swoje:

– Juści, po ludzku to nie jest, ale i szpitala trudno im było w chałupie zakładać, że to im przecież Magda ni swat, ni brat.

Pogadali o tym i owym i rozeszli dosyć późno, a na odchodnym Kłęb po swojemu prosto i krótko powiedział, żeby do niego zachodzili, a jak im czego potrza, niech ino rzekną – to czy z leguminy, czy paszy dla jałówki, a choćby i te parę złotych – znajdzie się po somszedzku...

Antkowie ostali sami.

Hanka po długim wahaniu, po wielu nieśmiałych wzdychach spytała wreszcie:

– Znalazłeś jaką robotę?

---

<sup>64</sup> waju (gw.) – was. [przypis edytorski]

– Nie, byłem we dworze jednym i drugim, przewidywałem się i u ludzi, a nie znalazłem... – odpowiedział cicho nie podnosząc oczów, bo choć prawda, że był tu i owdzie, ale o robotę się nie starał, a ino cały ten czas przewałęsał.

Położyli się, dzieci już spały, ułożone w nogach łóżka dla ciepła; ciemność ogarnęła izbę, tylko księżycowe światło lało się przez zamrznięte, roziskrzzone szybki i przenikało wskroś izby świetlistym pasem, nie zasnęli jednak; Hanka przewracała się z boku na bok i medytowała: teraz powiedzieć o tartaku czy też dopiero jutro rano?

– Szukałem, ale choćbym i dostał, nie pójdę ze wsi, nie będę się tłukł po świecie, jak ten pies bepański – szepnął po długim milczeniu.

– To samo umyśliłam, tak samo! – zawołała radośnie – po co szukać chleba po świecie?... i we wsi trafia się niezgorszy zarobek, a to młynarz mi powiedział, że ma robotę la<sup>65</sup> ciebie przy tartaku choćby i od jutra, a płaci dwa złote i groszy piętnaście.

– Chodziłaś pytać? – krzyknął.

– Nie, płaciłam, com mu była winna, a on sam powiedział, że miał przysłać po ciebie; nawet i nie wspomniałam – tłumaczyła się zestraszona.

Nic już nie odrzekł, a i ona milczała; leżeli koło siebie nieruchomie, bez słowa, sen ich odleciał zupełnie, roili coś w utajeniu głębokim, czasem wzdychali, to roztapiali duszę w tej głuchej, martwej ciszy – psy jakieś naszczekiwały we wsi, daleko, daleko i słabo, koguty biły skrzydłami i piały już z północka, a szum cichy jakby wiatru zahuczał nad chałupą.

– Śpisz to? – przysunęła się nieco bliżej.

– Kiej śpik mię odszedł.

Leżał wznak, z rękami pod głową, tak blisko przy niej, a tak daleko sercem, daleko myślami – leżał nieruchomy, bez oddechu prawie, bez pamięci, bo Jagusine oczy znowu wyjrzały z ciemności i modrzyły się w księżycowej poświacie...

A Hanka przysunęła się bliżej jeszcze, przywarła gorącą twarzą do jego ramienia, przywarła sercem całym. – Nie, już w niej nie było podejrzeń żadnych ni żalów, ni goryczy, a ino tym miłowaniem serdecznym, tą lubością duszną, pełną dufności i oddania się, cisnęła się do jego serca.

– Jantoś, pódziesz to jutro do roboty? – spytała drżąco, byle ino co rzec, byle ino usłyszeć głos jego i zgwarzyć się z jego duszą.

– Może i pójdę, juści, trzeba iść, trzeba... – odpowiadał nie myśląc o tym.

– Idź, Jantoś, idź... – prosiła miętko i zarzuciła mu rękę na szyję i szukała gorącymi ustami jego ust ledwie dyszących.

Ale on nie drgnął nawet, nie odpowiedział, nie poczuł jej uścisku, nie wiedział o niej, szeroko otwartymi oczami patrzył w tamtej oczy, w Jagusine modre oczy.

---

<sup>65</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

### III

Na dobrym już dniu, po śniadaniu, młynarz przywiódł Antka na robotę; ostawił go na zajęździe wśród kłoców zwalonych na wielkie kupy, a sam poszedł do Mateusza, którego akuratnie przyręchtowywał drzewo na tartaku i puszczał piły, pogadał z nim cosik i zawołał:

– Róbcie tu sobie, a we wszystkim słuchajcie Mateusza, on tu za mnie rządzi – i poszedł zaraz, bo przykry, przejmujący ziąb ciągnął od rzeki.

– Pewnie topora nie macie? – zagadnął Mateusz schodząc na dół i witając się z nim przyjaźnie.

– Z siekierą przyszedłem, bom nie wiedział.

– To jakbyście się z zębami wybrali, drzewo przemarzło i kruszy się kiej szkło, nic byście siekierą nie zrobili, nie chyci albo tyła co zębem. Pożyczę wam na dzisiaj topora, trza go ino przyostrzyć, a na plask więcej... widzicie... Bartek, weźcie no się do pary z Boryną i tego dąbka rychło wyręchtujcie, bo tam z pił zejździe niedługo.

Zza olbrzymiego kłoca, leżącego w śniegu, wyprostował się suchy, wysoki a przygarbiony chłop z fajką w zębach, w baranicy siwej na głowie, w żółtym kożuszku, w trebach i czerwonych pasiatych portkach, wsparł się na błyszczącym toporze, strzyknął przez zęby i rzekł wesoło:

– Do mnie to się przyżenicie, nie bójcie się, zrobimy taką parę, co to w zgodzie żyje, bez wrzasków i bijatyk.

– Sielny<sup>66</sup> las! Drzewa kiej świece!

– Ale sękate juchy, że niech Bóg bronii, jakby krzemieniem nabijane, rzadki ten dzień, w którym topór się nie wyszczerbi. Ino swojego nie ostrzcie do sucha i gładka, trzeba z włosiem ciągnąć po kamieniu, w jedną stronę, to ostrze mocniejsze, z żelazem to jak i z drugim człowiekiem, utrafisz, w co lubi, a powiedziesz kiej tego pieska na postroneczku, gdzie ino ci się uwidzi; taczalnik<sup>67</sup> stoi w młynicy pod jaglakiem...

Może w jakiś pacierz Antek już stanął do roboty naprzeciw Bartka i jął odwalać szczapy a ociesywał drzewo wzdłuż, do ostrego kantu, wedle Bartkowego nasmolenia, nie odzywał się jeno, bo go mocno dotknęło, że taki Mateusz, a przewodzi jemu, Borynie – ale kiej brzuch błądzi – koszula nie rządzi, to jeno spluwał w garście i przypinał się ze złością do topora.

– Niezgorzej wam idzie, niezgorzej! – zauważył Bartek.

Juści, że poradzić poradził, niedziwna mu była obróbka drzewa, a i pomyślenie też miał niezgorsze, tylko że robota była ciężka dla niewłożonego, to się rychło zziajął i zapocił, aż kożuch sciepnął z siebie.

A mróz był tęgi, nie folgował, a że to wciąż trza było stać i grzebać się w śniegu, to ręce grabiały i przywierały do steliska<sup>68</sup> i czas się tak dłużył, że ledwie się doczekał południa.

Ale w obiad przegryzł ino suchego chleba, popił wodą prosto z rzeki i nawet pod dach, do młynicy nie poszedł z drugimi, bał się tam natknąć na znajomków, co byli przywieźli do młyna i czekali swojej kolei. Jeszcze by wydziwiali nad nim, a cieszyli się między sobą z jego ponizenia i biedy, niedoczekanie ich!... Ostał na mrozie, przysiadł pod młynicą, gryzł chleb i wodził oczami po tartaku, którego stał nad samą rzeką, węglem ino przywarto do szczytu młyna, że woda z czterech kół waliła pod niego grubym zielonym wałem i poruszała piły.

Ale i nie wytchnął jeszcze całkiem ni odpoczął jak się patrzy, a już Mateusz, wracając od młynarza z obiadu, z daleka krzyczał:

– Wychodź! Wychodź!

---

<sup>66</sup> *sielny* (gw.) – silny, wspaniały. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *taczalnik* – narzędzie do ostrzenia noży i toporów. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> *stelisko* (gw.) – trzonek topora. [przypis edytorski]

To chcąc nie chcąc, postępując na krótkie przypołudnie, a trza się było dźwigać i do roboty stawać z drugimi.

A ruchali się żwawo, bo mróz prażył i poganiał galanto<sup>69</sup>.

Młyn turkotał wciąż, a woda spod kół, obrośniętych w lody, kieby w te kłaki zielone i zwite w długie kołtuny, waliła z krzykiem pod tartak, piły trzeszczały bezustannie, jednak, jakoby kto szkło gryzł, i pluły żółtymi trocinami. Mateusz zaś uwijał się niestrudzenie, rychtował kłocce, zastawiał wodę, puszczał, przybijał drzewo klamrami do burt, rozmierzał, a wciąż hukał i poganiał ludzi, i wszędzie go było pełno, zwijał się jako ten szczygieł przy konopiach, ino migał jego czerwony w zielone pasy spencerek i siwa baranica po podejździe, na podeptanych, zawiórzonych śniegach, gdzie obrabiali drzewo, to do młyna biegł, to do ludzi zagadywał, rozrządzał, naganiał, śmiał się, przekpinki powiadał i pogwizdywał, a siarczyście robił, ale najczęściej widny był na pomoście przy piłach, ile że tartak bokowych ścian nie miał i świecił na przestrzał, a wznosił się nad rzeką dość wysoko na czterech tęgich słupach, o które tak biła woda, że trzciny dach, wsparty ino na szczytach, drygał niekiedy, niby ta wiecha na wietrze.

– Sprawny jucha! – szepnął Antek z uznaniem, ale nie bez złości.

– Mało to bierze! – odmruknął Bartek.

Zabili ręce o ramiona, bo skrzytwa była coraz cięższa, i robili w milczeniu.

Narodu było dość przy robocie, ino że na pogwarę czasu nie było – dwóch warowało przy piłach, zwałało porznięte kłocce na ziem, a wciągało nowe, dwóch zaś drugich rozcinało niedorznięte końce i układało tarcice w szychty wielgachne albo co cieńsze i mokrzejsze chronili przed mrozem pod szopami, a jeszcze dwóch obłupywało ze skóry dęby, jodły i świerki, że często gęsto Bartek krzykał do nich przekpiwając:

– Te, drzyki zapowietrzzone, kiej się wyzwolita na hyclów<sup>70</sup>!

Żli byli na to, boć nie psów łupili ze skóry, ale swarzyć się o przewisko nie było czasu. Mateusz tak popędzał, że ledwie niekiedy ukradkiem ino leciał któren do młynicy, by rozgrzać zgrabiałe ręce, a z nawrotem nieledwie w dyrdy pospieszał, bo i sama robota poganiała.

O dobrym już zmroku Antek powlókł się do domu, a tak był przemarznięty, utrudzony i wyzbyty z sił, tak go bolały wszystkie kości, że zaraz po kolacji poszedł pod pierzynę i zasnął kamieniem.

Hanka nie miała serca wypytywać się go o nic, ale dogadzała mu, jak mogła, przyciszała wciąż dzieci, starego nagnała, by buciarami nie hałasował, sama boso chodziła po izbie, by go ino nie przebudzić, a na świtaniu, kiedy się zabierał do roboty, uwarzyła mu garnuszek mleka do ziemniaków, by se podjadł i rozgrzał się lepiej.

– Psiakrótko, tak mię gnaty bołą, że ruchać się nie mogę! – wyrzekał.

– To ino tak zrazu, boście niezwyczajni, niewłózeni... – tłumaczył stary.

– Przejść przejdzie, wiem. Przyniesiesz to, Hanuś, obiad?

– Przyniesę, a gdziebyś to latał taki karwas drogi, przyniesę...

Poszedł zaraz, bo trzeba było równo z dniem stawać na robocie.

I tak mu się zaczęły dnie ciężkiej, znoonej pracy.

I czy mróz choćby i największą skrzytwa prażył, czy zawierucha dęła i biła wichurą i śniegiem, że oczów nie było można ozewrzeć, czy odwilż przychodziła, że trzeba było stać dnie całe w rozmiękłym śniegu, a przykry, wilgotny ziab w kości wlażył, czy śniegi sypały, że topora własnego mało co widział – trzeba było zrywać się do dnia, biec i dnie długie pracować, aż gnaty trzeszczały i każda żyła z osobna pruła się z utrudzenia, a śpieszyć się do tego, bo cztery piły tak zeżerały drzewo, że ledwie mogli nastarczyć i Mateusz poganiał.

---

<sup>69</sup> galanto (gw.) – elegancko, porządnie. [przypis edytorski]

<sup>70</sup> Te, drzyki zapowietrzzone, kiej się wyzwolita na hyclów – żart, nawiązujący do pracy hycla, łowcy bezpańskich psów, i jego pomocnika, oprawiającego zabite zwierzęta, oraz do zwyczajów w cechach rzemieślniczych, gdzie „wyzwoleniem” nazywano dawniej promocję ucznia-pomocnika na samodzielnego czeladnika. [przypis edytorski]

Ale nie to mu się mierziło, nie ciężka praca, nie wichry złe, skrzytwy, pluchy czy śniegi srogie, zwyczajają się był do tego po trochu – bo jak się człek przyłoży, to mu i w piekle niezgorzej – powiadają mądre ludzie, jeno czego znieść nie mógł, to tego Mateuszowego przodownictwa i tych jego ciągłych doskwierań.

Inni już na to nie baczyli, a on za każdą razą kiej posłyszał, wrzał złością, a nieraz tak odwarknął, że tamten ino ślepiami błyskał, a znowu, jakby z rozmysłem, do wszystkiego się czepiał, niby nie prosto w oczy, ale tak zawždy utrafił w słabiznę, aż skóra cierpła na Antku i pięście mu się zwierały, hamował się jednak jeszcze, jak mógł, przyciszał, a tylko te przygryzki w pamięć zgarniał, czuł dobrze, że Mateusz na okazję czekał, by go z roboty wygonić...

Antkowi zaś tak o robotę nie chodziło wiele, a ino o to, by się nie dać przeprzeć i zmóc bele komu – takiemu łachmytkowi jak Mateusz.

Dość, że się zawzinali na się coraz srożej, bo na samym dnie złości, jak zadra boląca, tkwiła Jagusia. Obaj oni, a już z dawna, jeszcze od wiosny, a może i od zapust, chodzili za nią na przyprzążkę i przepierali jeden drugiego kryjomo, dobrze jednak wiedząc o sobie. Jeno Mateusz robił to prawie na oczach wszystkich i w głos powiadał o swoim miłowaniu, a Antek kryć się z tym musiał, to i głucha, paląca zazdrość parzyła mu serce.

Nigdy oni nie trzymali ze sobą przyjacielstwa, a zawdy się boczyli na siebie i odgrażali przed ludźmi, że to i każdy z nich miał się za najmocniejszego chłopa we wsi, ale teraz z dnia na dzień rosła w nich złość do siebie i zawziętość, iż po jakimś tygodniu to się już nie witali, a przechodzili mimo, krzesząc ślepiami jako te dwa wilki rozsrożone.

Mateusz nie był zły ni nieużyty, a nasprzeciw, serce miał wspomogliwe i szeroką rękę, jeno zbyt dufał w siebie, zbyt się wynosił nad drugie i za nic je<sup>71</sup> sobie ważył, a i tę miał jeszcze wadę, że za takiego się miał kawalera, któremu żadna dziewczucha się nie oparła, lubił się tym puszyć, rozpowiadać, byle ino przodować we wszystkim. Więc i teraz w smak mu to szło i rad gadał, że Antek robi u niego i słucha się we wszystkim, a w oczy pokornie patrzy jak ta trusia, byle go ino z roboty nie wygonił.

Dziwno to było znającym Antka, ale jak miarkowali, że się chłop upokorzył i przygiął, byle ino roboty nie stracić, a drugie zasię dowodzili, że z tego wyjdą jeszcze historie, bo Antek nie daruje i nie dziś, to jutro odbije swoje, i gotowi byli nawet o zakład iść, że Mateusza spierze na kwaśne jabłko.

Juści, że Antek o tych gadkach nie wiedział, bo do chałup nie zaglądał, znajomków wymijał bez słowa, a z roboty wprost do domu szedł i na odwrót, ale dobrze czuł, że tak być musi, bo niezgorzej przezierał Mateusza.

– Przyrychtuję ja cię, ścierwo, na taką kapustę, że cię psi nie zjedzą, zmięknie ci rura, nie będziesz się puszył i wynosił – wyrwało mu się jednego razu na robocie, aż Bartek posłyszał i rzekł:

– Poniechajcie go, płacą mu za to, by poganiał! – Nie rozumiał stary.

– Nawet pies mnie mierzi, kiej po próznicy szczeka.

– Za bardzo bierzecie do serca, jeszcze się wama<sup>72</sup> zapieczę wątroba, a uważam, że i do roboty gorącej się...

– Bo mi zimno – rzucił byle co.

– Z wolna trza wszystko, po porządku, z wolna, a i Pan Jezus mógł świat stawić w jeden dzień, a wolał go robić bez<sup>73</sup> cały tydzień, odpoczywający... robota nie ptak, nie pofrunie, a narywać<sup>74</sup> się la<sup>75</sup> młynarza czy tam innego, jaka wam wola i mus... a Mateusz jest od tego, kiej ten piesek, co strzeże chudoby, będziecie się to nań żlili za szczekanie?...

---

<sup>71</sup> je – tj. ich, innych ludzi. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> wama (gw.) – wam. [przypis edytorski]

<sup>73</sup> bez (gw.) – przez. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> narywać się – przepracowywać się, przedźwigać się. [przypis edytorski]

<sup>75</sup> la (gw.) – dla. [przypis edytorski]

– Powiedziałem, jak to uważam. Gdzieście to latową porą bywali, że was we wsi nie ujrzał?  
– zapytał, aby zmienić rozmowę.

– Niecoś się robiło, niecoś świat Boży oglądało, oczy pasło i duszy rosnać pomagało... – powiadał wolno obciosując drzewo z drugiej strony, prostował się czasem, rozciągał, aż mu stawy trzaskały, a fajki z zębów nie puszczał i rad prawił.

– Robiłem z Mateuszem przy nowym dworze, ale że poganiał i zwiesna<sup>76</sup> była na świecie, pachniało słonko, tom go rzucił, a szli natenczas ludzie do Kalwarii – poszedłem z nimi, by odpustu dostąpić i świata coś niecoś przejrzyć.

– Daleko to do onej Kalwarii?

– Dwa tygodnie szlim, aż za Krakowem, alem nie doszedł. W jednej wsi, gdzieśmy poedniowali, stawał gospodarz chałupę, a tyle się na tym rozumiał, co koza na pieprzu, zeźliłem się, skłamię juchę, bo drzewa namarnował, i ostałem u niego, że to i prosił. Bez dwa miesiące wyrzchtowałem mu dom, że na dwór patrzył, aż mnie za to chciał swatać ze swoją siostrą, wdową, co w podle na pięciu morgach siedziała.

– Pewnikiem stara.

– Bogać ta młoda, ale niczego jeszcze, a jakże, tyła że ino łysawa zdziebko, koślawa i świdrem patrzała, ale na gębie gładka, kiej bochen, którego myszy bez parę niedziel obgryzały, galanta<sup>77</sup> kobieta, dobra, wyżerkę miałem sielną – a to jajecznicę z kiełbasą, a to gorzałka z tłustością, a to inne smaki były, a tak się znarowiła do mnie, że dzień w dzień pod pierzynę była puszczać gotowa... ażem w nocy się wyniósł we świat...

– Nie było się to przyżenić, zawsze pięć morgów...

– I zawszony kozuch po nieboszczyku. A mnie co po kobiecie! Z dawna mi już obmierzło to babie nasienie, z dawna! A to nic jeno krzyczy, wrzeszczy, lata, jako te sroki na płocie, wy słowo, a ona dwudziestu kiej grochowinami trzęsie... wy macie rozum, a ona ino ozorem zamiata. Mówisz kiej do człowieka, a ta ni wyrozumie, ni rozważy, jeno bele co klepie. Powiadają, że Pan Jezus dał kobiecie ino pół duszy i musi być to prawda... a drugą połówkę diabeł miał narządzić...

– Są i mądre pono, są... – rzekł melancholijnie.

– To i białe wrony pono są, ino że nikto ich nie widział!

– Nie mieliście to swojej kobiety, co?

– Miałem, miałem!... – urwał nagle, wyprostował się i zapatrzył siwymi oczami w dale, stary już był, zeschę na wiór, żyłasty, prosty – ino się jakoś przygarbił teraz i fajka mu latała w zębach, a łypał powiekami prędko, prędko.

– Schodzi, wciągać! – wrzeszczał chłop od pił.

– Prędej tam, Bartek, nie stójcie, bo i piły staną – wrzeszczał Mateusz.

– Hale, głupi, rychlej nie można, niżli poradzi. Wlazła gapa<sup>78</sup> na kościół, kracze i myśli, że jest księdzem na ambonie – mruknął ze złością, ale musiało mu się cosik zrobić na wnątrzu, bo częściej odpoczywał, wzdychał i za południem się oglądał.

Dobrze, że zaraz przyszło, bo jakoś i kobiety się już pokazały z dwojakami, a Hanka wychodziła z za węgła młyna. Tartak stanął, poszli wszyscy jeść do młynicy. Antek zaś, że dobrze znał się z młynarczykiem, bo niejedną flachę wypili ze sobą, wpakował się do jego izdebki, nie uciekał już od ludzi ni stronił od nich, ino im takie oczy pokazywał, że sami go omijali.

W gorącu takim, że ledwie można było dychać, siedziało paru chłopów w kozuchach i pogadywało wesoło, byli to ludzie z dalszych wsi, co do młyna przywieźli i czekali na zmielenie, dokładali torfu do czerwonego już piecyka, kurzyli papierosy, że cała izdebka tonęła w dymie, i rajcowali.

---

<sup>76</sup> *zwiesna* (gw.) – wiosna. [przypis edytorski]

<sup>77</sup> *galanty* (gw.) – elegancki, porządny. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> *gapa* (gw.) – wrona. [przypis edytorski]

Antek usiadł na jakichś workach pod okienkiem, dwojaki wziął pomiędzy kolana i łokcie pojadał kapustę z grochem, a potem kluski ziemniaczane z mlekiem, a Hanka ukucnęła mimo i z rozczuleniem wpatrywała się w niego. Wysechł był od pracy, poczerniał, a od tego robienia na mrozie twarz mu miejscami łuszczyła się ze skóry, ale mimo to urodny się jej widział jak nikt drugi na świecie. Juści, że tak było, wysoki, prosty, śmigły, w pasie cienki, w barach rozrosły, gibki; a twarz miał długawą, suchą, nos kiej ten dziób jastrzębi, jeno nie tak garbaty, oczy wielkie, siwozielone, a te brwie, to jakby kto węglem krychę pociągnął przez całe czoło, od skroni prawie szły do skroni, że kiedy je w gniewie ściągnął, to aż straszno było patrzeć, a czoło miał wyniosłe, ino na pół przysłonięte równo obciętymi, ciemnymi, prawie czarnymi włosami i wąsy golił do cna jak wszyscy, że mu ino te białe zęby grały w czerwonych wargach jako sznur paciorków... urodny był całkiem, że nigdy dość napatrzeć się nie mogła na niego.

– Nie mógł to ociec przynieść, będziesz to co dnia tyle drogi biegała!

– Gnoju mieli urzucić spod jałówki, a samam wołała ci przynieść!

Zawsze tak kierowała, by samej obiad przynieść i chociaż popatrzeć na niego.

– Cóż tam? – spytał dojadając.

– A cóż by! – oprędną już worek wełny i odniosłam organiscinę pięć proników. Kuntentna<sup>79</sup> była wielce... Pietruś ino jakiś rozpalony, jeść nie je i matyjasi ciągiem...

– Obzał się i tyła.

– Pewnie, że tak, pewnie... A i Jankiel zachodził po gęsi...

– Sprzedasz to?

– Hale, a na zwiesnę<sup>80</sup> to kupowała będę!

– Jak uważasz, tak zrób, twoja w tym głowa.

– I u Wachników znowu się pobili, aż po księdza chodzili, żeby rozbroił... a u Paczesiów ciele pono się udławiło marchwią.

– Co mi ta po tym – mruknął niecierpliwie.

– Organista jeździł po snopkach – powiedziała po chwili, ale już nieśmiało.

– Cóżżeś dała?

– Dwie przygarście lnu oczesanego i cztery jajka... Powiedział, że jak nam będzie potrzeba, to da wóz owsianki i poczeka na pieniądze do lata albo i na odrodek da. Nie wzięłam, po cóż nam brać od niego... przecież... należy nam się jeszcze paszy od ojca, wzielim ino dwa wozy, a z tyłu morgów...

– Nie pójde się upominać i tobie zakazuję. Weź od organisty na odrodek, a nie, to się ostatnie bydłę sprzeda, a pókim żyw, ojca o nic prosił nie będę, rozumiesz...

– Rozumiem, od organisty wziąć...

– A może i zarobię tyła, że starczy, nie bucz ino przy ludziach!

– Dyć nie płacze, nie... ale weź od młynarza z pół korczyka jęczmienia na kaszę, to taniej wyjdzie niżli gotową kupować.

– Dobrze, powiem dzisiaj i zostanę na któren wieczór, to się zmiele.

Hanka wyszła, a on pozostał jeszcze kurząc papierosa, nie wtrącając się do rozmów, jakie chłopi wiedli, a mówili właśnie o bracie dziedzicowym z Wólki.

– Jacek mu było, znałem go dobrze! – zawołał Bartek wchodząc na ten czas do izdebki.

– To wiecie pewnie, że powrócił z dalekich krajów.

– Nie, myślałem nawet, że już dawno pomarł!

– Żywie, bo coś ze dwie niedziele temu, jak przyjechał.

– Wrócił, ale powiadali, że coś niespełna rozumu. We dworze nie chce mieszkać i przeniósł się do lasu do borowego, sam se wszystko narządza, czy jadło, czy też ubiór, aż to dziwno wszystkim, a

---

<sup>79</sup> *kuntentny* (gw.) – zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> *zwiesna* (gw.) – wiosna. [przypis edytorski]

wieczorami na skrzypkach wygrywa, często gęsto to i po drogach go spotykają, po tych mogiłkach różnych, na których przygrywa...

– Mówili mi, że po wsiach chodzi i wszystkich się wypytuje o jakiegoś Kubę...

– O Kubę! Nie jednemu psu Łysek.

– Przewiska nie powiada, Kubę jakiegoś szuka, którego go miał pono z wojny wynieść i od śmierci uchronić!

– Był ci i u nas Kuba, którego do boru z panami poszedł, ale ten pomarł! – rzucił Antek i podniósł się, bo już Mateusz wrzeszczał za ścianą:

– Wychodźta, co to, do podwieczorku będzieta poedniowali!

Antka porwała złość, że wybiegł i zawołał:

– Nie drzyj się po próżnicy, słyszymy wszyscy.

– Obzałł się mięsem, to krzykaniem ulgę sprawia kałdunowi – powiedział Bartek.

– I... krzyczy, by się przed młynarzem zaśluzyc – dorzucił któryś.

– Przy jadł się wylegają, poradzają, gospodarzy juchy udają, a całych portek nie pokażą... – mamrotał wciąż Mateusz.

– Do was pije, Antoni, do was!

– Zawrzyj pysk i weź ozór za zęby, bym ci go nie przyciął, a od gospodarzy ci wara! – wrzasnął Antek, gotowy już na wszystko.

Ale Mateusz zamilkł, ino jak ten zbój spoglądał, a już cały dzień słowa nie przemówił do nikogo, ale za robotą Antkową pilnie baczył i stróżował go na każdym kroku, ino przyczepić się nie mógł, bo tamten tak robił rzetelnie, że sam młynarz, którego parę razy dziennie przychodził na robotę, to spostrzegł i przy pierwszej wypłacie tygodniowej postąpił mu na całe trzy złote.

Mateusz się wściekał potem, młynarzowi do oczów skakał, ale ten rzekł:

– Dobryś mi ty, dobry mi i on, dobry mi każdy, którego rzetelnie pracuje.

– To ino mnie przez złość pan jemu postąpił.

– Wart jest tyle co Bartek, a może i więcej, tom postąpił. Sprawiedliwy człowiek jestem, niech każdy o tym wie.

– A bo cisnę wszystko do stu diabłów i niech se pan sam staje do roboty – groził.

– A ciśnij, poszukaj bułek, kiedy ci chleb nie smakuje, idź, tartak poprowadzi Boryna, i do tego za cztery złote na dzień! – powiedział młynarz ze śmiechem, bo ano tak z rozmysłem wszystko rychtował, by mieć taniej robotnika.

Pomiarkował się wnet Mateusz, że młynarz nie ustąpi i nie da się nastraszyć, to nie nastawał więcej, schował złość do Antka głęboko za pazuchę, że go tam żywym ogniem piekła, ale dla ludzi zrobił się jakby miększym i wyrozumialszym, spostrzegli to w lot, a Bartek splunął na to i rzekł do drugih:

– Głupi jako ten psiak, co nie mógł ugryźć buta, dostał w zęby, to się teraz do niego łasi. Myślał, że łaskę posiadł, a tak samo go przegonią, niech się tylko lepszy trafi... zawsze tak z bogaczami bywa...

Antkowi zaś zarówno wszystko było, ani rad był z podwyżki, ani cieszyło go zbytnio, że Mateuszowi zmiękła rura i że wieś z niego przekpiwała, o czym powiadali na robocie, tyle go to obchodziło razem, co ten łoński rok albo i mniej. Nie dla płacy robił, to ino Hankę cieszyło, robił, bo mu się tak podobało, a gdyby zechciał brzuchem do góry wylegiwać – wylegiwałby się, choćby się tam nie wiem co stało. A że upodobał sobie w robocie, to się w niej prosto zapamiętał i chodził jak ten koń w kieracie, co i nie popędzany, a w kółko biega, póki go nie zatrzymają.

I tak szedł dzień za dniem, tydzień za tygodniem aż do samych Godów w ciężkiej i bezustannej pracy, aż mu z wolna przycichła dusza i jakby skrzepła na lód, że zgoła niepodobny był do dawnego. Dziwowali się temu ludzie i różnie o tym mówili. Ale to było jeno z wierzchu, dla ludzkich oczów, bo na wewnątrz całkiem było różnie – jako w tej wodzie bystrej i głębokiej, którą mróz w lody okuje i śniegi przysypią – a bełkocze ciągiem, szumi, huka, że ani człek się spodzieje, kiej pęknie

powłoka i wody luną... Tak ci było i w nim; robił, harował, pieniądze co do grosza oddawał żonie, w domu przesiadywał wieczorami, a dobry był jak nigdy, cichy, spokojny, dzieci zabawiał, pomagał w gospodarstwie, marnego słowa nie rzekł nikomu, nie wyrzekał i jakby o wszystkich krzywdach zapomniał – ale nie zwiódł tym wszystkim Hanczynego serca, nie; juści, że radowała się tej przemianie i dziękowała za nią Bogu gorąco, a zabiegała koło niego, jak mogła, w oczy mu ciągiem patrzyła, by odgadnąć, czego potrzebuje, służką mu była najwierniejszą i najpamiętliwszą, ale i często łapała oczami jego smutne spojrzenia, często nasłuchiwała strwożona jego wzdychów cichych, często opadały jej ręce i z zamarłym sercem oglądała się dokoła, chcąc przewidzieć, skąd przyjdzie nieszczęście, bo dobrze czuła, że w nim waży się cosik strasznego, cosik, co ino przez moc zdzierza, co ino przywarło, przytało się, a ssie mu duszę, ssie...

On zaś ani słowa nie rzekł, źle mu jest czy dobrze, z roboty wracał prosto do domu, o świtanu się zrywał, kiedy przedzwaniiali na roraty, że co dnia przechodził koło oświetlonego kościoła, co dnia zatrzymywał się wprost kruchty posłuchać grania organów, tych muzyckich głosów, tych brzmień rozdzwonionych, cichych, przejmujących, co jakby z mrozów dźwięczały, jakby z tej przedświtowej szarości się rodziły, jakby z tych zórz miedzianych pobrzękiwały, z lodowych przysłon i z ziemi przemarzłej niosły się tęsknym, łamiącym marzeniem długiego snu, ciężkiego snu zimy, i co dnia przyspieszał kroku, by go nie ujrzeli zasłuchanego, i biegł drugą stroną stawu, dłuższą, byle ino nie przechodzić koło ojcowego domu i nie spotkać nikogo.

Nikogo!

Dlatego też i w niedziele przesiadywał kamieniem w domu, mimo próśb Hanki, by szedł z nią do kościoła. Nie i nie. Bał się spotkania z Jagną, dobrze wiedział, że nie zdzierzy, nie wytrzyma!

A przy tym wiedział od Bartka, z którym się niezgorzej stowarzyszył, i sam czuł, że wieś wciąż się nim zajmuje, że go pilnują i śledzą na każdym kroku jak złodzieja, jakby się zmówili na niego – nieraz bowiem spostrzegał przyczajone za węglami oczy, nieraz czuł, jak się oglądają za nim, jak lecą ciekawe, chwytnie spojrzenia, co rade by do dna duszy sięgnąć i wypatroszyć ją z każdego zamysłu, i przejrzeć na wskroś. Bolały go te oczy, bo jakby świdrem szły przez duszę, srodze bolały.

– Nie przegryziecie, ścierwy, nie przegryziecie – szeptał nienawistnie, zacinając się w coraz sroższym gniewie na wszystkich, że jeszcze bardziej unikał ludzi.

– Nie potrzeba mi nikogo. Tyle mam ze sobą przyjacielstwa, że ledwie temu poradzę – powiedział Kłębowi, któren mu wyrzucił, że nigdy do niego nie zajrzy.

I prawdę rzekł, że ledwie ze sobą poradził, prawdę; wziął się był mocno w garść, skiełznał duszę niby w ten kantar żelazny i trzymał krzepko, nie popuszczał z uwięzi – ale już mu coraz częściej mdlała dusza z utrudzenia i coraz częściej chciało mu się ciepnąć wszystko i zdać na dołę. Zła będzie czy dobra – zarówno mu było, bo życie mu mierzło i przeżerał go smutek – głęboki smutek, co jak ten jastrząb wczepił się w serce pazurami i darł, i ozdierał.

Ciężko mu było w tym jarzmie, ckno, ciasno i duszno, jak temu spętanemu koniowi w zagrodzie, jak temu psu na łańcuchu, jak... że i nie wypowiedzieć!

Czuł się jako to drzewo rodne, obłamane przez wichę i na zagładę skazane, a schnące powoli w samym środku kwitnącego, zdrowego sadu.

Boć wokoło żyli ludzie, była wieś, życie wrzało zwykłym głębokim bełkotem, pluskało jako ta woda bieżąca, rozlewało się wciąż jednakim, bujnym, rzeźwym strumieniem. Lipce żyły zwykłym, codziennym życiem: a to chrzciny wyprawiali u Wachników; zrękowiny odbywały się u Kłębów, choć i bez muzyki, ale zabawiali się, jak na adwent przystało; to znowu zmarło się komuś, bodaj że temu Bartkowi, którego to po kopaniach zięciaszek tak pobił, że chyrlał, kwękał, aż się i przeniósł do Abramka na piwo; to Jagustynka zapozwała znowu dzieci do sądów o wycugi<sup>81</sup>; to insze jeszcze sprawy szły, drugie, a w każdej niemal chałupie coś nowego, że naród miał o czym radzić, z czego się śmiać albo i markocić; a zaś po różnych chałupach w długie wieczory zimowe zbierały się kobiety

<sup>81</sup> wycug – dożywotnie utrzymanie, jakie należy się rodzicom od dzieci, na które przepisali majątek. [przypis edytorski]

z kądzielą na oprzęd – co tam śmiechu było, mój Jezus, co zabawy, co gadek, co krzykań, że aż po drogach szły te gzy wesołe! A wszędy co swarów, przyjacielstw, zmawiań, zalecanek, wystawań przed chałupami, krętaniny, bijatyk, przemawiań uciesznych – jakoby w tym mrówczym albo pszczelnym rojowisku – że ino huczało w chałupach.

A kaźden żył po swojemu, jak mu się widziało, jak mu sposobniej było, a społecznie z drugimi, jak Pan Bóg przykazał.

Kto biedował, zabiegał, kłopotał się, kto się zabawiał i rad w kieliszki przedzwaniał z przyjacioły, kto się puszył i wynosił nad drugie, kto za dzieuchami się uganiał, kto chyrlał i na księżą oborę poglądał<sup>82</sup>, kto na ciepłym przypiecku legiwał, komu radość była, komu smutek, komu zaś ni jedno, ni tamto – a wszyscy żyli gwarno, z całej mocy, duszą całą.

Ino on jeden był jakby poza wsią, poza ludźmi i czuł się jako ten ptak obcy, strachliwy a głodny – że choć się tłucze koło jarzących okien, choć wzdycha do pełnych brogów<sup>83</sup>, choć rad by duszą całą do ludzi – a nie wleci; kołuje ino, zagląda, nasłuchuje, męką się żywi, tęsknicę pije, a nie wleci.

Chyba, żeby Pan Jezus co przemienił... a na dobre.

Ale bał się jeszcze myśleć o takiej przemianie.

Jakoś na dni parę przed Godami spotkał się rano z kowalem, chciał go wyminąć, ale tamten zastąpił mu drogę, pierwszy wyciągnął rękę i rzekł miętko, jakby z żalem:

– Czekałem, że przyjdiesz jak do rodzonego... poradziłbym, pomógł, chociaż i u mnie się nie przelewa...

– Mogłeś przyjść i pomóc!

– Jakże... pierwszy to miałem się napraszać, żebyś mnie wygonił jak Józkę...

– Juści, kogo nie boli, temu zawsze powoli.

– Nie boli! Jednaką nas krzywda spotkała, to i bolenie jednakie.

– Nie cygań w żywe oczy, hale, myśli, że z głupim ma sprawę...

– Jak tego Pana Boga kocham, tak czystą prawdę rzekłem.

– Lis jucha; leci, wywachuje, kręta się, a ogonem ślad zaciera, żeby nawet wiatru za nim nie złapać i szkody nic pomścić.

– Że na weselu byłem, o toś, widzę, krzyw na mnie! Prawda, byłem, nie wypieram się, musiałem ano pójść, sam ksiądz namawiał i niewolił, żeby obrazy boskiej z tego nie wyszło, że dzieci osobno, a ociec osobno.

– Z namowy księdza poszedłeś, powiedz to drugiemu, uwierzy, ale nie ja. Drzesz ty starego za to przyjacielstwo, jak się ino da, z próżnymi rękami nie odchodzisz...

– Ino głupie nie bierą, jak im dają, ale przeciw tobie nie nastają, nie, niech cała wieś powie, spytaj się Jagustynki, ona cięgiem przesiaduje u starego, już nawet mówiłem ojcu o zgodzie z tobą... zrobi się to... uładzi... wyrychtuje na glanc...

– Psów se gódź, nie mnie, słyszysz! Nie prosiłem cię o wojnę, to mie i ze zgodą nie żeń, widzisz go, jaki mi przyjaciel! Zrobiłbyś zgodę, byś ino mógł mi zwlec z grzbietu choćby ten kozuch ostatni... Mówię ci raz jeszcze, całkiem mnie poniechaj i z drogi mi schodź, bo jak mnie kiedy złość rozbierze, to ci tych wiewiórczych kudłów nadrę i zeber pomacam, nie obronią cię i strażniki, choć z nimi trzymasz. Zapamiętaj to sobie!

Odwrócił się i poszedł nie obejrzawszy się nawet na tamtego, którego z rozdziawioną gębą na środku drogi ostał.

– Cygan ścierwa, ze starym trzyma i do mnie z przyjacielstwem występuje, a obu by nas z torbami puścił, by ino mógł.

---

<sup>82</sup> na księżą oborę poglądać – szykować się na śmierć. [przypis edytorski]

<sup>83</sup> bróg – oparte na czterech słupach słomiane zadaszenie, pod którym składowano siano lub niewymłócone zboże. [przypis edytorski]

Nie uspokoił się rychło po tym spotkaniu, bo do tego nie wiedło mu się jakoś dzisiaj od samego rana; ledwie był wziął się do ciesania, wyszczerbił się topór na sęku, a potem zaś, zaraz z przypołudnia, drzewo przygnietło mu nogę, cud prawdziwy, że nie pękła, ale musiał but zezuwać i okładać lodem, bo napuchła i srodze bolała... A do tego i Mateusz dzisiaj był rozżarty jak ten pies, kłócił się ze wszystkimi, wciąż mu było źle, wciąż mało, krzyczał, poganiał, a z nim to jakby wyraźnie zwady szukał, że ino, ino do czego gorszego nie przyszło.

Tak się już dziwnie składało, bo nawet tej kaszy, którą miał Franek zrobić na dzisiaj, a o którą Hanka mu co dnia głowę suszyła, nie zrobił i zastawiał się brakiem czasu.

W chałupie też było niezwyczajnie, Hanka chodziła strapiona i zapłakana, bo Pietruś leżał w gorączce jakoby w ogniu, że musiała wołać Jagustynki, aby chłopca okadziła i przemierzyła, bo obsunąć się musiał.

Właśnie przyszła podczas kolacji, przysiadła przed kominem, rozglądała się kryjomo po izbie i dziwną ochotę miała gadać, ino że mało wiele odpowiadali oboje, to zaraz wzięła się oglądać chłopca i lekować...

– Pójdę do młyna, przypilnuję, bo inaczej nie zrobią! – powiedział biorąc za czapkę.

– Ociec nie mogliby to iść zasypywać?...

– Sam pójdę, to pewniej kasza będzie! – I poszedł spieszenie, zły był, wzburzony i tak na wnątrzu rozciepany, jako to drzewo samotne na wichurze, a przy tym drażniło go wszystko w chałupie, niecierpliwiło, a najbarzej te obmacujące, złodziejskie oczy Jagustynki.

Wieczór był cichy, niemroźny, bo jakoś od rana sfozłało mocno, gwiazd było niewiele, ino gdzieniegdzie, jak przez zasłony, drgała jaka w dalekościach, wiatr pociągał od lasów, a z nim szedł daleki szum, głuchy, jakby przed odmianą, psy gęsto naszczekiwały po wsi, a co trochę suły się kurzawą śniegi, otrząsane z drzew... dymy tłukły się po drodze – a powietrze było wilgotnawe, przejmujące.

We młynie, że to przed świętami, sporo było ludzi; ci, których zboże się mełło, warowali przy gankach, reszta siedziała w izdebce młynarczyka, a w pośrodku nich Mateusz snadź coś ciekawego powiadał, bo co chwila wybuchali śmiechem.

Antek cofnął się prawie z progu izdebki i poszedł na młyn szukać Franka.

– Rozprawia się na grobli z Magdą, wiecie, tą wypędzoną od organistów! Młynarz chciał go wygonić, jeśli dziewczkę raz jeszcze spotka w młynie, a przesiadywała tu całe noce, bo i gdzież się podzieje biedota! – objaśnił go chłop jeden.

– Kto na zwiesnę<sup>84</sup> za czym bryka, od tego zimą umyka! – dorzucił ze śmiechem inny.

Antek przysiadł pod cylindrem, gdzie się najprzedniejszą mąkę robiło, a tak jakoś wprost wywartych drzwi izdebki, że widział Mateuszowe plecy i głowy innych, pochylonych ku niemu i zasłuchanych, mógł był słyszeć nawet, co mówili, bo niedaleko było, ino turkot młyna nie pozwalał, a i sam słuchać nie chciał.

Uwalił się prawie na worach i jakby drzemał nieco ze znużenia.

Młyn turkotał bez przerwy, trząsał się cały, dygotał i pracował wszystkimi gankami, koła trzepały się tak mocno, jakby sto kobiet prało kijankami a bez przerwy, woda z bełkotliwym krzykiem waliła się przez nie, rozbijała w piany wrzące, w śnieżyste drzazgi i waliła z rykiem do rzeki.

Antek czekał może z godzinę na Franka, ale podniósł się wreszcie, by iść go poszukać na dworze, a zarazem by się orzeźwić nieco, bo śpić go morzył. Drzwi wychodne prowadziły tuż przy izdebce, przeszedł i biorąc już za klamkę przystanął nagle, postyszał prawienie Mateusza.

– ...a stary sam warzy mleko, to herbatę i do pierzyny jej nosi... – mówili, że nawet sam koło krów chodzi i z Jagustynką wszystko obrządza, byle ino ona se rączków nie powalała... pono kupił w mieście porcenelę<sup>85</sup>, by się nie przeziębila za stodołę wychodzić...

---

<sup>84</sup> *zwiesna* (gw.) – wiosna. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *porcenela* (gw.) – porcelana; tu: nocnik. [przypis edytorski]

Gruchnęli śmiechem ogromnym i dowcipy jak grad się posypały. Antek, sam nie wiedząc dlaczego, cofnął się na dawne miejsce, padł na worki i bezmyślnie patrzył w długą, czerwoną smugę światła, bijącą przez wywarte drzwi izdebki. Nie słyszał nic, turkot przygłuszał rozmowy, młyn dygotał bezustannie, szary tuman pyłów mącznych przysłaniał młynice, lampki wiszące u sufitu gdzieś tam migotały z kurzawy białej, żółciły się jak te kocie oczy zaczajone i drygały raz po raz na sznurach. Ale nie mógł wysiedzieć, podniósł się znowu i cicho, na palcach podsunął się pod same drzwi i słuchał.

– ...wszystko mu wytłumaczyła – mówił Mateusz – bez<sup>86</sup> płot pono się spieszyła i bez to – Dominikowa przytwardziła, jako się to często przytrafia dzieuchom, że i ją to samo spotkało w panieństwie... Każda teraz może zganiać na przełaz ostry... a stary baran uwierzył. Taki mądrala, a uwierzył...

Śmiali się tak, aż ten rechot po młynicy się rozlegał, aż się pokładali.

Antek przysunął się bliżej, prawie w progu stanął, a blade jak trup z zaciśniętymi pięściami, skurczony w sobie, gotowy do skoku.

– A to, co o Antku powiadali – podjął znowu Mateusz, gdy się wyśmiali – że się tam z Jagusią dobrze znali, nieprawda, wiem najlepiej. Sam słyszałem, jak skamlał u drzwi komory niby ten pies, aż go mietłą musiała odganiać. Przyczepił się do niej jak rzep do psiego ogona, ale go przeganiała...

– Widzieliście to?... inaczej na wsi mówili... – zapytał któryś.

– Jakże, raz to byłem u niej w komorze? Raz mi się to żaliła na niego?

– Łzesz jak ten pies! – krzyknął Antek przestępując próg.

Mateusz się porwał w ten mig do niego, ale nim mógł zmiarkować co bądź, już Antek skoczył jak ten wilk wściekły, chycił go jedną ręką za orzydle<sup>87</sup>, przydusił, aż tamten dech i głos stracił, drugą ujął za pas, wyrwał z miejsca jak kierz<sup>88</sup>, nogą drzwi wywalił na dwór i poniósł go prędko za tartak, do rzeki ogrodzonej płotem, i cisnął z całej mocy, aż cztery żerdki trzasły kiej słomki, a Mateusz niby kloc ciężki padł we wodę.

Rejwach się uczynił i krzyk wielki, bo rzeka w tym miejscu bystra była i głęboka, rzucili się ludzie na ratunek i wyciągnęli go rychło, ale był nieprzytomny, ledwie się go docucili. Przyleciał wnet młynarz, przywiedli w parę pacierzy Jambroża, naszło się ludzi ze wsi, aż go przenieśli do młynarzowego domu, bo ciągiem mdlał i rzygał krwią. Po księdza nawet posłali, tak się źle z nim widziało, myśleli, że i ranka nie doczeka.

Antek zaś, kiedy Mateusza wynieśli, siadł spokojnie na jego miejscu przed kominem i grzał sobie ręce, i pogadywał z Frankiem, który się znalazł – a skoro ludzie powracali i uspokoiło się nieco, rzekł tak głośno, by wszyscy słyszeli, a mocno, by sobie każdy zapamiętał:

– Kto ino będzie mnie szarpał i nastawał na mnie, każdemu tak zrobię albo jeszcze lepiej!

Nikt się nie odezwał, patrzeli na niego z głębokim podziwem, z szacunkiem, bo jakże, żeby takiego chłopa jak Mateusz wziąć tak letko niby ten snopek słomy, ponieść i rzucić do wody! Jeszcze nikto o takim mocarzu nie słyszał!... No, bo żeby się pobili, zmagali i jeden drugiego przemógł, poprzetrącał mu kości, zabił nawet – rzecz zwyczajna! Ale nie, ino wziąć kiej tego szczeniaka za uszy i ciepnąć do wody! Że mu ta zebra popękały od żerdeń, nic to, wylekuje się, ale taki wstyd, taki wstyd, tego chyba Mateusz nie przeniesie!... Tak owstydzic człowieka na całe życie!...

– No, no wiecie, moiściewy, tego jeszcze nie było – szeptali między sobą.

Ale Antek na nich nie zważał, zmeł kaszę i koło północa poszedł do domu; świeciło się jeszcze u młynarza w tej izbie, gdzie złożyli Mateusza.

– Nie będziesz się, ścierwo, przechwalał więcej, żeś u Jagny w komorze bywał! – szepnęła nienawistnie i splunęła.

---

<sup>86</sup> bez (gw.) – przez. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> orzydle (daw.) – część koszuli pod szyją, przód kołnierza. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> kierz (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

W domu nic nie powiedział, choć Hanka jeszcze nie spała zajęta przędzeniem, ale rano nie poszedł do roboty, był pewny, że go odprawią, zaraz jednak po śniadaniu przyleciał sam młynarz.

– Chodźcież do roboty, co macie z Mateuszem, to wasza sprawa, nic mi do tego, a tartak stać nie może, dopóki nie ozdrowieje; prowadźcie robotę, cztery złote i obiad będę wam płacił.

– Nie pójdę, da pan tyle, co Mateuszowi, stanę i nie gorzej poprowadzę.

Młynarz się wściekał, targował, ale przystać musiał, bo nie było rady, zaraz go też zabrał i poszli.

Hanka nic z tego jeszcze nie pojęła, bo o niczym nie wiedziała.

## IV

W Wigilię przed godnymi świętami już od samego świtania wrzał przyspieszony, gorączkowy ruch w całych Lipcach.

W nocy czy też dopiero na odedniu mróz był znowu krzepko chycił, a że przyszedł po paru dniach miętkich i wilgnych mgieł, to obwalił drzewa sadzią jakby tymi szklanymi strużynami albo zasie puchem co najbielszym; słońce się nawet całkiem wyłupało i świeciło na modrym, jakby oprzędzonym w cieniuśkie, przejrzyste mgły niebie, jeno że blade było, ostygłe kiej ta Hostia w monstrancji utajona, nic nie grzejące, a naprzeciw, bo mróz brał na dzień, podnosił się jeszcze i przejmował taką skrzytwą, że dech zapierało i stworzenie wszelkie chodziło w parach oddechów, niby w kłębach mgieł, ale świat się cały rozslonecznił i stanął w takich migotliwych, jarzących blaskach, w takich ostrych skrzeniach, jak żeby kto diamentową rosą przyokrył śniegi, aż oczy bolały patrzeć.

Okólne pola, przywalone śniegiem, leżały białe, roziskrzzone, a głuche i martwe, ino czasami ptak jakiś łopotał wskroś bielizin mieniących, że ino cień jego czarny migotał po zagonach albo to stadko kuropatw skrzykiwało się pod zasypanymi krzami<sup>89</sup> i płochliwie, czujnie ciągnęło chyłkiem ku ludzkim siedzibom, pod brogi<sup>90</sup> pełne; gdzie znów, ale nieczęsto, zajaczek jaki zaczerśniał, kicał po śniegach, stawał słupka i drapał stwardniałą skorupę dobierając się do zboża, ale spłoszony szczekaniem psów, uciekał z nawrotem do borów oszroniałych, zawałonych śniegiem, zmartwiałych z zimna! – Pusto i głucho się czyniło na tych nie objętych okiem równiach śnieżnych, a tylko gdzieś, w dalekościach modrawych, majaczyły wsie, siwiały sady, mroczały gąszcze, połyskiwały zamarźle strumienie.

Chłód przejmujący i od tych mroźnych brzasków świetlisty wionął światem całym i przenikał na wskroś zlodowaciałą ciszą.

Żaden krzyk nie rozdarł zakrzepłego milczenia pól, żaden głos żywy nie zadrgał ni nawet poświst wiatru nie zaszeleścił w suchych, roziskrzonych śniegach – ledwie niekiedy, czasami, od dróg zgubionych w zaspach, tłukł się jękliwy głos dzwonka i skrzyp sanic, ale tak słabo i odlegle, że jeszcze nie chycił całkiem, nie rozeznał skąd i gdzie, a już przebrzmiało i zgoła przepadało w cichościach.

Ale po lipeckich drogach, z obu stron stawu, rojno było od ludzi i wrzaskliwie; radosny nastrój święta drgał w powietrzu, przenikał ludzi, nawet w bydłatkach się odzywał; krzyki dźwięczały w słuchliwym, mroźnym powietrzu kieby muzyka, śmiechy rozgłośnie, wesole leciały z końca w koniec wsi, radość buchała z serc; psy jak oszalałe tarzały się po śniegach, szczekały z uciechy i ganiały za wronami, tłukącymi się około domów, po stajniach rżały konie, z obór wrywały się przeciągłe, tęskne ryki, a nawet ten śnieg jakby radośniej skrzypiał pod nogami, płozy sań piskały na twardych wyszlichtanych drogach, dymy biły modrymi słupami a prościuteńko, jakby strzelił, okna zaś chałup grały tak w słońcu, aż raziło – a wszędzie pełno było wrzawy, dzieci, rwetesu, gęgliwych głosów gęsi, co się trzepały po przyrębłach, nawoływań; pełno było po drogach ludzi, przed domami, w opłotkach, a wskroś ośnieżonych sadów raz po raz czerwieniły się wełniaki kobiet, przebiegających z chałupy do chałupy, że raz po raz tręcane w biegu drzewiny i krze<sup>91</sup> sypały strugami okiści niby tą srebrną kurzawą.

Młyn nawet dzisiaj nie turkotał, stanął na święta całe, a tylko zimne szkliwo wody przejrzystej, puszczonej na upust, dzwoniło bełkotliwie, a gdzieś za nim, w błotach i w oparzeliskach, z oparów kurzących się mgłami wydzierały się krzyki dzikich kaczek i całe ich stada kołowały.

---

<sup>89</sup> kierz (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

<sup>90</sup> bróg – oparte na czterech słupach słomiane zadaszanie, pod którym składowano siano lub niewymłócone zboże. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> kierz (daw.) – krzew, krzak. [przypis edytorski]

A w każdej chałupie, u Szymonów, u Maćków, u wójtów, u Kłębów, i kto ich tam zliczy a wypowie wszystkich, przewietrzano izby, myto, szorowano, posypywano izby, sienie, a nawet i śnieg przed progami świeżym igliwem, a gdzieniegdzie to i bielono poczerniałe kominy; a wszędzie na gwałt pieczono chleby i one strucle świąteczne, oprawiano śledzie, wiercono w niepolewanych donicach mak do klusek.

Boć to Gody szły, Pańskiego Dzieciątka święto, radosny dzień cudu i zmiłowania Jezusowego nad światem, błogosławiona przerwa w długich, pracowitych dniach, to i w ludziskach budziła się dusza z zimowego odrętwienia, otrząsała się z szarzyzny, podnosiła się i szła radosna, czująca mocno na spotkanie narodzin Pańskich!

I u Borynów był taki sam rwetes, krętanina i przygotowania.

Stary jeszcze był do dnia pojechał do miasta po zakupy z Pietrkiem, którego przyjął do koni na Kubowe miejsce.

A w chałupie uwijano się żwawo, Józka przyśpiwywała cichusko i strzygła z papierów kolorowych one cudackie strzyżki, które czy na belkę, czy też na ramy obrazów nalepić, to widzą się kieby pomalowane w żywe kolory, od których aż gra w oczach! A Jagna, z zakasnymi po ramiona rękawami, miesiła w dzieży ciasto i przy matczynej pomocy piekła strucle tak długachne, że widziały się jako te lechy w sadzie, na których pietruszkę zasiewają, to chleby bielsze nieco z pytłowej mąki – a zwijała się żywo, bo ciasto już kipiało i trza było wyrabiać bochenki, to poglądała za Józiną robotą, to zaglądała do placka z serem i miodem, którego wygrzewał się już pod pierzyną i czekał na piec, to latała na drugą stronę do szabaśnika, w którym buzował się tęgi ogień.

Witek miał przykazane, aby pilnował ognia i dokładał polan, ale tyle go ino widzieli co przy śniadaniu, bo zaraz się gdziesik zapodział. Próżno Józka, to Dominikowa szukały go po obejściu i nawoływały, ani się odezwał jucha; siedział ano za brogiem w szczerym polu pod krzami i zakładał sidła na kuropatki, a gęsto je przysypywał plewami dla niepoznaki i przynęty. Łapa z nim był i ten bociek, którego to był w jesieni chorego przygarnął, wykurował, ochraniał, żywił, sztuk różnych wyuczył i tak się z nim pokumał, że niech ino zagwizdał nań po swojemu, to ptak chodził za nim niezgorzej od Łapy, z którym był w wielkiej zgodzie, bo razem wyprawiali się na szczury w stajni.

Rocho zaś, którego na całe święta Boryna do chałupy przyjął, siedział już od rana w kościele i tam do spółki z Jambrozym przystrajali ołtarze i ściany jedliną, jakiej nawiózł księży parobek.

Południe już dochodziło, gdy Jagna skończyła z chlebem, ułożyła bochenki na desce i jeszcze oklepywała i smarowała je białkiem, by zbyt w ogniu nie popękały, gdy Witek wraził głowę w drzwi i krzyknął:

– Kolędę niesą!

Jakoż już od rana starszy organiściak, Jasio, ten, co był w szkołach, roznosił opłatki do spółki z młodszym bratem.

Dojrzała ich Jagna już przed gankiem, że czasu nie było nawet coś uprzątnąć, gdy do izby weszli z Pochwalonym.

Zafrasowała się wielce, że to w izbie rozgardiasz był taki, to ino schowała pod zapaskę gołe ręce i zapraszała, by siedli odpocząć, bo kosze mieli wielkie, a młodszy dźwigał niezgorsze torbeczki i niepróżne.

– Jeszcze mamy pół wsi obejść, a czasu niewiele!... – wzbraniał się.

– Niech pan Jasio choć się ogrzeje, zamróż taki!

– A może dziebko gorącego mleka, to uwarzę – proponowała Dominikowa. Wymawiali się, ale przysiedli pod oknem na skrzyni, Jasio zaś tak się wpatrzył w Jagnę, aż poczerwieniła i jęła spieszenie ściągać na ręce rękawy, że i on pokraśniał jak burak i wziął w koszu szukać opłatków, a wyjął lepszą i grubszą paczkę, bo w złoty pasek okreconą i poprzekładaną kolorowymi opłatkami. Jaguś wzięła ją przez zapaskę i położyła na talerzu pod Pasyjką, a potem wyniesła z dobry garniec siemienia lnianego i sześć jajek.

– Pan Jaś dawno przyjechał?

- Dopiero w niedzielę, trzy dni temu.
- Pewnikiem cknę się im w tych szkołach? – zapytała matka.
- Nie bardzo, ale to już niedługo, bo tylko do wiosny!
- A mówiła pani organista jeszcze w moje wesele, że pan Jasio na księdza idzie...
- Tak, od Wielkiej Nocy, tak! – rzekł ciszej i spuścił oczy.
- Mój Boże, to dopiero pociecha się ojcom ściele! To dopiero radość, że oni księdzem ostaną, a może da Bóg, to i w naszej parafii!
- Cóż tu u was słychać? – zapytał, aby przerwać pytania niemiłe.
- A cóż by, dał Bóg, że nic złego. Pomaluśku wszystko, pomaluśku a dookoła, kieby w tym kieracie, jak zwyczajnie w chłopskim stanie.
- Chciałem przyjechać na wasze, Jaguś, wesele, ale mnie nie puścili.
- A taka zabawa była, że bez<sup>92</sup> całe trzy dni tańcowali! – wykrzyknęła Józka.
- Kuba podobno w tym czasie umarł!
- A zmarło mu się, zmarło chudziaczkowi, krew go uszła i nawet bez świętej spowiedzi skończył. Mówią po wsi, że pokutuje, że widzieli, jak się cosik nocami po drogach tłucze, na rozstajach jęczy, to pod krzyżami wystaje i zmiłowania boskiego czeka!... Kubowa dusza to być musi, nie druga!
- Co wy też mówicie!
- Juści, prawdę mówię, nie widziałam sama, to i nie przysięgnę na to, ale może być, może są takie sprawy na świecie, że człowiekowi rozum, choćby i największy, a nie wyrozumie, nie przejrzy – boskie to ano są urządzenia, nie ludzkie, nie, bo co my, chudziaki, możemy, to możemy, a resztę Bóg może!
- Szkoda Kubę, sam ksiądz, jak mi opowiadał o jego śmierci, to aż płakał z żalu.
- Bo poczciwości to był parob, że i drugiego nie znaleźć, a cichy, pobożny, pracowity, cudzego nie ruszył, a z biednym to gotów się był kapotą ostatnią podzielić.
- Tak się zmienia ciągle w Lipcach, że co przyjadę, poznać się nie mogę. Byłem dzisiaj u Antków, dziecko im chore, bieda u nich aż skrzypi, a on sam tak się zmienił, tak wychudł, że ledwie go poznał!
- Nie odezwały się na to ani słowem, jeno Jagna odwróciła szybko twarz i zaczęła nakładać chleb na łopatę, a stara łypnęła oczami, że zaraz pomiarkował, jako w tym jest dla nich coś przykrego, chciał naprawić, myślał, o czym by dalej mówić, gdy Józka przystąpiła zapłonią i jeła prosić, aby dał parę kolorowych opłatków.
- Na święty mi potrzebne, były z łośńskiego roku, ale się we wesele do cna pomarnowały.
- Juści, że dał jej kilkanaście i coś aż w pięciu kolorach.
- Aż tyle! Mój Jezus, a dyc to starczy i na święty, i na księżycy, i na gwiazdy! – wołała ucieszona, poszeptaly z Jagną i zesromana, przysłaniając twarz zapaską, wyniesła mu za nie coś sześć jajek.
- Boryna na ten czas powrócił z miasta i wchodził do izby, a za nim wciskał się Łapa z boćkiem, bo Witek też się zjawił równo z gospodarzem.
- Zawierajcie prędko drzwi, bo się ciasto oziębi – krzyczała stara.
- Jak kobiety zabierają się do porządków, to chłopom trza komornego szukać choćby w karczynie, by przy pieczeniu nie zwalili na nas zakalca! – śmiał się Boryna rozgrzewając skostniałe ręce. – Droga jak po szkle i sanna sielna, ale i taki mróz, że trudno w saniach wysiedzieć! Daj, Jaguś, Pietrkowi choćby chleba, bo przemarzył na kość w tym sołdackim szynelu. Jasio na długo do domu?
- Aż do Trzech Króli.
- Ojciec ma z Jasia niezgorszą wyrękę, bo to i przy organach, i w kancelarii! Juści, staremu żal puścić pierzyny na taki mróz.

---

<sup>92</sup> bez (gw.) – przez. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.